Rok II. Lwów, dnia 1 sierpnia 1896. Nr. 15.

PRZEGLĄD WSZECHPOLSKI

Dwutygodnik polityczny i społeczny.

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.

Redakcya i Administracya: Lwów, ul. Antoniego Małeckiego 3.

Administracya otwarta codziennie od godz. 3—5 po południu. W sprawach redakcyjnych od 4—5.

ROSZCZENIA LITEWSKIE.

Wszelka próba oznaczenia stanowiska Polaków i polityki polskiej względem dążeń narodowych Litwinów i Rusinów jest sprawą wielce drażliwą, której poruszanie i roztrząsanie szkodzi raczej niż pomaga wzajemnemu porozumieniu i wspólnemu działaniu. Wprawdzie *clara pacta claros faciunt amicos*, ale chociaż rzeczywistość zmusza nieraz obie strony do zgodnego postępowania do świadomego lub bezwiednego kompromisu w rzeczach praktycznych, zasadnicze określanie warunków pożądanej łączności jest obecnie, zdaniem naszem przedwczesnem, z wielu powodów nawet niemożliwem. Nie dotykalibyśmy więc tej sprawy wcale, gdyby nie chodziło nam o wyświetlenie jej samym sobie, o usunięcie lub sprostowanie wielu błędnych poglądów, w społeczeństwie naszem upowszechnionych.

Nie należy sądzić, że tylko t. zw. polityka ugodowa prowadzi do abdykacyi z praw i interesów narodowych. Osłabienie żywotności naszej, bezwładność myśli politycznej, słowem te wszystkie przyczyny, których wynikiem jest powstanie dążeń ugodowych, oddziałały również i na przedstawicieli i na programy innych stronnictw, nie wyłączając nawet rewolucyjnych. Inaczej tylko wyraża się to usposobienie ugodowe. Jedni dla wątpliwych korzyści gotowi są zrobić na rzecz rządów zaborczych daleko idące ustępstwa w zakresie praw i interesów narodowych, drudzy samowolnie wyrzekają się tych praw, poświęcają te interesy dla równie wątpliwych zysków w przyszłości lub, co gorsza, dla doktryny z gruntu fałszywej, dla pięknie brzmiących, ale pustych frazesów o odkupieniu win urojonych, o sprawiedliwości powszechnej i t. p. Błąd ten, pod wpływem ogólnego usposobienia, popełniają i ci nawet, którzy są przekonani, że wiernie strzegą tradycyi politycznej polskiej i nic nie uronili z haseł stuletniej walki narodowej. Powtarzając wciąż, że Polska powinna być wolną i niepodległą, zalecając równość i braterstwo w stosunku do innych ludów, zapominają, że demokracya narodowa, której są spadkobiercami, chciała też mieć Polskę »jedną, całą i niepodzielną«.

Zmieniać się mogą hasła i zasady odpowiednio do zmienionych warunków politycznych, ale pomimo chwilowego osłabienia niezmiennemi pozostały dążenia społeczeństwa naszego i nie zanikło w nim poczucie swej indywidualności narodowej i państwowej. To poczucie, mylnie nazywane egoizmem, ujawniające się dziś coraz żywiej, jest najpewniejszą oznaką siły i żywotności narodu. Nie przeczy ono prawom i interesom innych ludów, ale swój interes i swoje prawo stawia ponad wszystko, nie przeczy zasadom moralnym, ale stanowi dla nich jedyne właściwe w polityce kryteryum. Pozostawmy Bogu sąd o tem, czy sprawa jest słuszną czy niesłuszną — powiedział kiedyś Canning — parlament powinien orzec tylko, czy jest ona korzystną dla Anglii. Słowa te w sposób brutalny wyrażają zdrową myśl polityczną. W każdej sprawie i w każdej rozprawie politycznej powinniśmy baczyć przedewszystkiem na nasz interes narodowy.

Określając w numerze 8 *Przeglądu wszechpolskiego* »nasze stanowisko na Litwie i Rusi«, wychodziliśmy z polskiego punktu widzenia, mieliśmy na uwadze nasze wyłącznie dążenia i interesy i ubocznie tylko zaznaczyliśmy w kilku słowach stosunek ich do sprawy litewskiej i ruskiej. Ponieważ jednak z powodu tego artykułu, oraz z powodu korespondencyi z Suwałk, zamieszczonej w naszem piśmie, spotkały nas pewne zarzuty ze strony przedstawicieli inteligencyi litewskiej, musimy przy sposobności odpowiedzieć na nie, tymbardziej, że ilustrują one dosyć wyraźnie zdanie nasze o niemożliwości zasadniczego roztrząsania sprawy stosunków wzajemnych i przedstawiają te właściwości poglądów i dążeń politycznych, które dziś wszelkie porozumienie się utrudniają.

Patryotyzm młodej inteligencyi tych ludów, w których ledwie budzić się zaczyna świadomość polityczna i narodowa, z konieczności musi być ciasnym i zaborczym, jest on bowiem dopiero w pierwszym okresie swego rozwoju — przeciwstawiania swej indywidualności plemiennej wszystkim innym. Mierzy się ten patryotyzm jedynie skalą wymagań — im są one większe, tym on szczerszy i silniejszy. Ani z wyłączności, po tem co powiedzieliśmy wyżej, ani z rozmachu dążeń nie robimy mu zarzutu. Przeciwnie, ta zawziętość i porywczość młodzieńcza świadczą o jego żywotności. Moglibyśmy więc bez żadnej obawy, owszem z życzliwem pobłażaniem, do którego upoważnia nas dłuższe doświadczenie historyczne, przyglądać się tym junackim zapędom, przypominającym trochę młodych kogucików, gdyby nie ten wzgląd, że kur litewski, skoro uprzejmie dawać mu będziemy grzędę, wzniesie się wyżej, niż mu siły jego pozwalają, co ani dla nas, ani dla własnych jego interesów nie jest pożądanem, bo roszczenia nadmierne, do warunków realnych nie zastosowane, nigdy na dobre nie wychodzą.

Nie zwracalibyśmy wcale na to uwagi, gdyby sprawa rozwoju dążeń narodowych litewskich nas bezpośrednio nie dotyczyła dziś i w przyszłości. Nie chodzi tu właściwie o następstwa doraźne roszczeń litewskich, chociaż i tego rodzaju nieporozumienia dla obu stron są niepożądane Przekonani jesteśmy najmocniej, że interesy narodowe Polaków i Litwinów są w wielu punktach wspólne, a w żadnym niema między nimi przeciwieństwa zasadniczego. Możliwem więc byłoby

łączne działanie obu narodowości we właściwym każdej z nich zakresie i uprzednie oznaczenie tego zakresu, t. j. ustanowienie norm wzajemnego do siebie stosunku. Jest to zapewne sprawa dosyć bliskiej przyszłości, dziś jednak przyśpieszać jej nie należy, chociażby dla tego, że nie tylko porozumieć się nam, ale nawet zrozumieć się bardzo trudno. Na poparcie tego zdania możnaby przytoczyć umieszczoną w *Zgodzie* amerykańskiej odpowiedź p. Żmogusa na artykuł »Nasze stanowisko na Litwie i Rusi«. Wszystkie te pisma polskie, które artykuł nasz przedrukowały lub o nim wspomniały, zaznaczyły wiernie jego myśl przewodnią. Nawet *Zgoda*, która list p. Żmogusa umieściła, w uwagach od redakcyi jasno treść naszego artykułu tłómaczy. W naszem i naszych polskich czytelników pojęciu jest on motywowanym protestem przeciw wyrzeczeniu się Litwy i Rusi, przeciw »likwidacyi interesów narodowych« w naszych dzielnicach wschodnich. Tymczasem p. Żmogus na podstawie jednego, wybranego dowolnie zdania twierdzi, że polscy politycy rewolucyjni (?) uważają Litwę za swoją własność i »jako właściciele mogą ją w razie potrzeby odprzedać, byleby za dobrą cenę«. Taki pogląd ma być jedynym łącznikiem między partyą ugodowców a partyą, grupującą się koło *Przeglądu wszechpolskiego*. Całe rozumowanie p. Żmogusa kręci się właściwie około tego podejrzenia, że Polacy gotowi są wyrzec się Litwy i oddać ją na pastwę Rosyi. Opiera się zaś to podejrzenie na zdaniu naszem: »Polska niezależna czy to pod naciskiem konieczności, czy na żądanie innych państw, któreby jej taki warunek przyznania samodzielności bytu narzuciły, mogłaby zrzec się *formalnie* części lub nawet całości tych krajów« tj. Litwy i Rusi. Podkreśliliśmy umyślnie teraz wyraz *formalnie*, bo on tłómaczy w jakiem znaczeniu i dla czego powyższe zdanie wygłosiliśmy. Stoi ono w związku z następnem, że »rozprawianie teraz o wyrzeczeniu się Litwy i Rusi na korzyść Rosyi lub na korzyść Litwinów i Rusinów jest albo niedorzecznością, albo mrzonką«, gdyż jak było powiedziane wyżej, »niema i nie może być w warunkach obecnych takiej formy zrzeczenia się, któraby miała wartość polityczną«. Dla nas zdanie, które tak p. Żmogusa oburzyło, było właściwie jednym więcej argumentem *przeciw* zrzekaniu się, dla niego jest argumentem *za*, chociaż zapewne to przynajmniej rozumie, że przypuszczenie możliwości faktu nie jest ani uzasadnieniem jego, ani usprawiedliwieniem. Polska mogłaby, gdyby musiała, zrzec się formalnie i Poznania i Śląska górnego, co zresztą nie oznacza wcale, żeby się tych dzielnic wyrzekła. Ale nawet w tem znaczeniu, jakie p. Żmogus zdaniu naszemu nadaje, nie zawiera ono nic zdrożnego politycznie i moralnie. Pod naciskiem konieczności Francya zrzec się musiała formalnie Alzacyi i Lotaryngii, Dania — Szlezwigu i Holsztynu, Rumunia musiała ustąpić część Bessarabii, Włochy — Sabaudyę i Niceję, nikt jednak nie powie, że te narody frymarczyły prowincyami utraconemi. Niewątpliwie i p. Żmogus gdyby decyzya od niego zależała i gdyby po jakiej wojnie z Rosyą mocarstwa zwycięzkie tworzyły samodzielne państwo litewskie, zgodziłby się na ich żądanie formalnego zrzeczenia się Litwy pruskiej, a tymbardziej dzielnic białoruskich, chociaż o wspólności ich interesów z Litwą właściwą rozprawia. To też rozgrzesza nas łaskawie z urojonej winy zrzeczenia się Litwy »dla zapewnienia korzyści rdzennie polskiemu narodowi«. Niestety to rozgrzeszenie, którego przyjąć nie możemy, dowodzi najlepiej, że nie rozumiemy się wcale, a raczej, że publicysta litewski nas nie rozumie, jakkolwiek zaznacza, że nie stoimy na stanowisku etnograficznem. Dla nas Polska nie kończy się na brzegach Sanu, Bugu lub Niemna i dlatego właśnie, że Litwę i Ruś uważamy za swoją własność polityczną, za swoje dziedzictwo historyczne, cenimy je tak samo, jak ziemie rdzennie polskie.

Zadaleko zaprowadziłaby nas polemika szczegółowa z poglądami patryotów litewskich, które p. Żmogus zdaje się dosyć dokładnie wyraża. Wrócimy zresztą do nich później nieco, teraz zaś zaznaczymy główne przyczyny nieporozumienia.

Popularne dziś mechaniczno-materyalistyczne pojmowanie dziejów i zjawisk społecznych, zwłaszcza w społeczeństwach młodych i warstwach świeżych upowszechnione, wytwarza cały szereg błędnych pojęć politycznych, które następnie utrudniają nietylko działanie wspólne, ale i zasadnicze określenie stosunków wzajemnych. Te uproszczone poglądy na zjawiska bardzo złożone przemawiają do umysłowości, na które tradycye historyczne i kulturalne żadnego prawie wpływu wywrzeć nie mogły. Wspólność pochodzenia, zresztą domniemana zwykle i bardzo wątpliwa, oraz odrębność językowa — uważane są za jedyne czynniki, określające narodowość. W rzeczywistości jednak niema w świecie cywilizowanym ani jednego większego państwa, ani jednego samodzielnego narodu, którego wszyscy członkowie mówiliby tym samym językiem. Niema też ani jednego ludu, z wyjątkiem chyba plemion najdzikszych, któryby nie był mieszaniną rasową. Patryoci etnograficzni, jeżeli tak wyrazić się wolno, oprócz dwóch wymienionych czynników, które w kształtowaniu się narodowości odgrywają pewną, dosyć wszakże ograniczoną rolę, pomijają inne, daleko ważniejsze, jak wspólność życia politycznego, tradycyi i kultury, granice naturalne, warunki ekonomiczne i społeczne, wreszcie dążenia świadome lub bezwiedne do jedności. Słusznie mówi p. Żmogus, że wpływy kulturalne nie upoważniają jeszcze jakiegoś narodu do uważania drugiego za swoją własność, zwłaszcza wpływy kultury materyalnej, którą autor głównie ma na widoku, sądząc z podanych przykładów. Ale sam dalej zaznacza, że Litwa ze swej strony »wiele wniosła do cywilizacyi polskiej», wiele krwi przelała w jej obronie. Dochodzenie, która strona więcej dała, byłoby bezużytecznem marnowaniem czasu, jest wszakże faktem niezaprzeczonym wzajemna wymiana między dwoma narodami i ten wspólny dorobek cywilizacyjny, ta krew wspólnie przelewana, ta wspólna tradycya polityczna silniej zespalają narody, aniżeli nawet pochodzenie i mowa.

Niewątpliwie odrębność języka wytwarza pewną odrębność polityczną, której zakres rozszerzać się musi w miarę rozwoju dążeń i instytucyi demokratycznych, w miarę coraz czynniejszego udziału mas ludowych w życiu politycznem. Każdej narodowości w państwie cywilizowanem należy się równy wymiar praw i swobód politycznych. Litwini, chociażby ze względu na swoją odrębność wyraźnie zaznaczoną i na swoją świadomość plemienną, mają niezaprzeczone prawo do używania swego języka w szkole, sądach, urzędach i t. d. To właśnie, ale to tylko oznacza formuła »wolni z wolnymi, równi z równymi«. Nie upoważnia ona wcale do marzeń o jakiejś supremacyi i odrębności państwowej, do uważania całej Litwy historycznej za własność, że użyjemy wyrażenia p. Żmogusa — żywiołu litewskiego. Politycznie Litwa historyczna nie była od XIV wieku litewską. Do XVII wieku w życiu publicznem panował w niej język białoruski, od tego zaś czasu brać zaczął górę polski.

Rozprawianie zresztą o tem, co być może i powinno — to targowanie skóry na niedźwiedziu. Istnienie wszakże podobnych dążeń, czyli raczej marzeń o przyszłości wśród inteligencyi litewskiej uwydatnia się nieraz w stosunkach dzisiejszych i z tego względu zasługuje na uwagę. Z powodu opisanego przez nas wypadku w Łoździejach *Nowa Reforma* zamieściła nadesłane jej przez jakiegoś Litwina sprostowanie, na podstawie relacyi pisma litewskiego *Lietuva*. Ze sprostowania tego okazuje się jednak, że ksiądz Litwin zaprowadził w parafii mieszanej wyłącznie śpiew litewski w kościele a chociaż później pozwolił kolejno śpiewać po polsku i po litewsku, nie mógł już zażegnać nierozsądnie wywołanego rozdrażnienia, którego następstwem było zajście bardzo przykre. Takich zapalonych i nierozważnych szowinistów wielu znaleźć można wśród inteligencyi litewskiej. Fakt ten trzeba przyjąć, jako objaw nieunikniony każdego żywego ruchu narodowego, nie sądzimy jednak, żeby należało podobne usposobienie podsycać co najmniej przedwczesnemi mrzonkami o supremacyi litewskiej.

P. Żmogus z widoczną, chyba oddaleniem od ojczyzny, usprawiedliwioną, przesadą, zapewnia, że zastęp inteligencyi litewskiej mówiącej językiem rodowitym jest już dziś wcale poważny i z każdym rokiem wzrasta, że na Litwie są takie wsie, z których literalnie z każdej chaty jeden lub kilku synów uczęszcza do szkół średnich, uniwersytetu, seminaryów i t. d. Do gimnazyów w Kownie, Szawlach i Marjampolu uczęszcza sporo synów chłopów litewskich, ale ze względu na ogólną ilość uczniów liczba ta wcale nie jest imponująca. Jeżeli nie będziemy ograniczali Polski Kongresówką, to w jednem gimnazyum galicyjskiem (w Nowym Sączu) znajdziemy bodaj tyluż synów chłopskich, ilu w trzech gimnazyach na Litwie, a w całej Galicyi co najmniej dziesięć razy więcej. Jeżeli nawet ubogą i zacofaną Galicyę weźmiemy za miarę dla oceny: jaka ilość ludzi wykształconych potrzebną jest w społeczeństwie, żyjącem w warunkach normalnych cywilizacyi współczesnej — to cały zastęp inteligencyi litewskiej okaże się drobną garstką, nie wystarczającą dla dwóch powiatów:

Ta inteligencya zresztą, chociażby pomnażała się jak najprędzej, z konieczności przez długi czas jeszcze używać musi dwóch języków. Piśmiennictwo litewskie, krępowane w rozwoju, nie wystarcza dziś na potrzeby samouków, ale gdyby nawet dać mu zupełną swobodę, za kilkadziesiąt lat nie odpowie wymaganiom ludzi wykształconych. Literatury i nauki dowolnie wytworzyć nie podobna, tymbardziej, że naród litewski jest liczebnie dosyć słaby. Małe narody nawet w najpomyślniejszych warunkach same swoich potrzeb umysłowych zaspokoić nie mogą, Duńczycy np. chociaż (z Norwegami) liczniejsi są od Litwinów, posiłkować się muszą piśmiennictwem niemieckiem, Finlandczycy, mniej więcej równie liczni — szwedzkiem i t. p.

Od Finlandczyków pod każdym względem wiele Litwini nauczyć by się mogli. W pierwszej dobie ruchu narodowego fińskiego stosunek Finnów do Szwedów był taki sam, jak dziś stosunek Litwinów do Polaków, a rząd rosyjski podżegał niechęci wzajemne i waśnie. Z wrodzonym jednak ludom tego szczepu zmysłem politycznym prędko zrozumieli Finnowie swoje stanowisko, sprowadzili do właściwej miary swoje dążenia i dziś nietylko stosunek obu narodowości do siebie jest normalnym, ale nawet corez wyraźniej występuje myśl jedności politycznej ze Szwecyą.

Równouprawnienie narodowe nie oznacza wcale faktycznego zrównania dwóch lub kilku narodowości, różniących się poziomem kultury i rozwoju politycznego i społecznego. Zabezpieczać ono powinno tylko każdemu narodowi możność wszechstronnego rozwijania swej indywidualności zbiorowej i korzystania z jednakowych praw obywatelskich z narodowością panującą. Pojmujemy, że rozbujanej ambicyi ludów młodych przykrem wydawać się musi wszelkie ograniczanie jej zapędów, ale naturalnego biegu rzeczy nie można zmieniać dowolnie. Litwini nawet na własnem terytoryum etnograficznem przez długi czas jeszcze nie podołaliby sami wymaganiom życia cywilizowanego i współczesnego ustroju państwowego. Prawda, że Bułgarzy, stojący na niższym stopniu kultury, stanowią państwo nawpół samodzielne, ale to państwo, które zresztą zorganizowała im Rosya, możliwem jest tylko w warunkach miejscowych, odpowiada uspołecznieniu bardzo prostemu i pierwotnemu ludów bałkańskich. Tymczasem Litwa ze względu na swe położenie geograficzne, musiałaby mieć organizacyę państwową i społeczną znacznie wyższą, zdolną odeprzeć współzawodnictwo krajów ościennych. Rzecz dziwna, że patryoci litewscy, podobnie jak ruscy, skłonni do zadowolenia się bardzo skromnemi ustępstwami, któreby dał im dziś z łaski rząd rosyjski, podnoszą ogromnie skalę swych żądań i roszczeń, ilekroć mówią o porozumieniu się z Polakami. Juźciż, targując skórę na niedźwiedziu, można popuścić wodze fantazyi, przekonani też jesteśmy, że opuściliby dużo ze swych pretensyj urojonych, gdyby widzieli w rzeczywistości możność pozyskania tego, co im bez targu przyznajemy, i gdyby nie liczyli zanadto na nasze usposobienie pojednawcze.

Słusznie, chociaż może zbyt ostro nazwał Liebknecht głupcami tych, którzy sądzą, że w pewnym określonym terminie zapanuje odrazu nowy ustrój społeczny na miejscu dawnego. Nam nie wolno wyrażać się tak stanowczo jak socyaliści, nazwiemy więc tylko naiwnymi ludzi, przypuszczających możliwość w danej chwili zasadniczego regulowania stosunków narodowych na podstawie różnic etnograficznych, wytykania nowych dowolnych granic i t. d. Inni nie są tak naiwni, ale obecnemu stanowi swej narodowości przeciwstawiają stan wymarzony, bezwątpienia możliwy, nawet prawdopodobny w przyszłości dalszej. Zapominają oni, że pomiędzy dzisiejszym stanem rzeczy istnieć musi cały szereg stanów pośrednich, zmian stopniowych, drobnych, które razem wzięte stanowią proces rozwoju narodowego. Doktryny, upraszczające pojmowanie zjawisk i faktów społecznych i w tym wypadku wywołały pośrednio osłabienie lub zanik tej właściwości umysłowej, którą nazwać można wyobraźnią polityczną. Tę zdolność konkretnego wyobrażania sobie przyszłych wypadków i kombinacyj politycznych nasza inteligencya w znacznej mierze zatraciła, a litewska lub ruska rozwinąć jej wcale nie mogły, gdyż nie posiadają żadnego doświadczenia politycznego. Społeczeństwo nasze ma przynajmniej dość żywą tradycyę polityczną, ma i praktykę polityczną w Galicyi i poniekąd w zaborze pruskim, która oddziaływa pośrednio na Polaków, żyjących pod rządem rosyjskim. A jednak i wśród nas są ludzie, którzy nie probują sobie przedstawić możliwego rozwoju wypadków, natomiast rozprawiają o stosunku Polaków do Litwinów i Rusinów, jako o stosunku całości wyodrębnionych, dokładnie odgraniczonych. Ma się rozumieć, wtedy określenie tego stosunku byłoby bardzo łatwem, każda narodowość stanowi zupełnie niezależną

*

jednostkę polityczną, łączą się zaś — jeżeli wogóle złączyć się zechcą — w imię wspólnego interesu, na warunkach umówionych i dokładnie oznaczonych. Niestety, urzeczywistnieniu tej pięknej sielanki przeszkadza jedna tylko okoliczność: nie może być, a raczej nie można sobie w granicach prawdopodobieństwa przedstawić takiego zbiegu wypadków, któryby podobny podział i rozgraniczenie ułatwił. Zaznaczyliśmy już, że zmiana w położeniu narodowości litewskiej nastąpić może jedynie albo wskutek niepomyślnej dla Rosyi wojny, zmuszającej ją do odstąpienia swych prowincyj zachodnich, albo wskutek rozwoju postępowego urządzeń państwowych i stosunków wewnętrznych w państwie rosyjskiem. W pierwszym wypadku Litwa właściwa częściowo lub w całości dostać się może Prusom, bądź też utworzyć wraz z częścią ziem polskich i ruskich państwo niezależne. Może są w Szawlach lub w Maryampolu, jak są w Makowie lub Sandomierzu tacy naiwni politycy, którzy wierzą w możliwość utworzenia przy tej sposobności państwa narodowego litewskiego, ale ludzie rozsądni o takich fantazyach nie mogą mówić poważnie. Nikt wówczas z pewnością nie pytałby Litwinów czy im się to podoba czy nie podoba, i nikt nie stanąłby w obronie ich praw narodowych, chociażby dlatego, że nie miałby w tem żadnego interesu. Nawet czynny udział w walce nie nadałby Polakom, a tymbardziej Litwinom stanowiska decydującego, a mocarstwa, ustanawiające na naszem terytoryum nowy porządek polityczny, pokrajałyby może Litwę na trzy części, gdyby im tak wypadło, i na razie niktby temu nie mógł przeciwdziałać.

Zmiana w układzie stosunków wewnętrznych i w urządzeniach państwowych rosyjskich nie zburzyłaby też z pewnością istniejącego stanu rzeczy. Polegała by ona na daniu guberniom litewsko-białoruskim samorządu, w dalszym rozwoju może na utworzeniu dla 3 lub 5—6 gubernii wspólnego zarządu i jakiegoś sejmu w Wilnie, na zniesieniu wszelkich ograniczeń prawnych, na przyznaniu językowi litewskiemu pewnych praw w szkole ludowej i średniej, w urzędach, sądach i t. d. Panującym pozostałby język rosyjski, a walczyćby z nim mógł o równe prawa jedynie język polski. P. Żmogusowi dziwnem się wydało, dlaczego w artykule wyżej wspomnianym wzięliśmy dla przykładu gubernię wileńską, a nie »całość organiczną« — Litwę właściwą? Dlatego po prostu, że długo zapewne pozostałby nietkniętym dotychczasowy podział administracyjny, bo rząd rosyjski nie miałby interesu zmieniać go i wytwarzać jednostki etnograficzne, bo podział taki utrwalony kilkodziesięcioletniem istnieniem nie łatwo ulega zmianie, gdyż przestaje być dowolnym, staje się »poniekąd całością organiczną«, którą podtrzymują względy praktyczne. Podziały administracyjne wszędzie na świecie wynikają »z powodów administracyjnych«, jak się wyraża p. Żmogus, a nie ma bodaj jednego wypadku, żeby odpowiadały ściśle »warunkom etnograficznym«. Dosyć zresztą przypomnieć sobie, jak się podobne zmiany gdzieindziej odbywały. Nie powinien więc p. Żmogus dziwić się, że wzięliśmy dla przykładu gubernię wileńską, bo ten przykład właśnie przedstawia doskonale, że wybór może być tylko między językiem polskim lub rosyjskim. Niema też w tem nic dziwnego, że 18 lub 19% ludności chce wprowadzić swój język do stosunków publicznych. Nie dlatego tylko język polski w gubernii wileńskiej miałby słuszne prawo do pierwszeństwa, że mówią nim klasy inteligentne, ale dlatego, że jest jedynym językiem większości, bo rozumieją go prawie wszyscy żydzi oraz znaczna część Białorusinów i Litwinów. A na jakiej że zasadzie miałby tam pierwszeństwo język litewski, którym mówi 30% ludności, lub białoruski, którego 33% tejże ludności używa?

Ta polemika z p. Żmogusem, która chociaż już tyle poświęciliśmy jej miejsca, nie wyczerpała połowy nawet kwestyj spornych, w naszem przekonaniu uwydatnia takie znaczne różnice nietylko w poglądach naszych i jego, ale i w poglądach inteligencyi polskiej i litewskiej, że wszelkie porozumienie się, po za obrębem spraw praktycznych staje się niemożliwem. Z wielokrotnego doświadczenia wiemy, że daleko łatwiej porozumieć się Polakowi z Niemcem lub nawet Rosyaninem w sprawach politycznych, aniżeli z przedstawicielami inteligencyi litewskiej lub ruskiej, chociaż w pierwszym wypadku porozumienie się utrudnia wyraźna sprzeczność interesów, w drugim zaś niemniej wyraźna ich wspólność ułatwiać je powinna. Objaśnić to można jedynie różnicą typów myślenia politycznego, która wynika raczej z braku tradycyi i doświadczenia historycznego, aniżeli z odmiennych właściwości umysłowych. Czas tylko zmniejszyć ją może, czekajmy więc, bo czekać musimy, cierpliwie tej chwili, kiedy bieg wypadków wskaże obu stronom konieczność wspólnego działania i określi jego warunki. Chwila ta, nastąpi wtedy, kiedy patryoci litewscy zrozumieją, że polityka nie powinna obejmować widnokręgów zbyt odległych, że przyszłości trzeba pozostawić to, co do niej niewątpliwie należy, a zająć się przedewszystkiem sprawami i zagadnieniami chwili bieżącej. Wówczas nie znikną wprawdzie, ale zejdą na plan dalszy wszelkie nieporozumienia, których my załatwić nie możemy lub nie chcemy, a które dopiero następcy nasi rozstrzygać powinni, wystąpi natomiast niewątpliwa wspólność interesów realnych i utworzy grunt dla pożądanego kompromisu.

Nie zaszkodzi mu to wcale, owszem raczej pomoże, jeżeli obie strony jasno i wyraźnie określą swoje stanowisko. Nasze żadnej wątpliwości nie powinno nasuwać, wbrew bowiem temu, co p. Żmogus twierdzi, nie jest ono wcale nowem. Polityka polska, nietylko rewolucyjna, ale wogóle narodowa zawsze na niem stała i nie weszła teraz bynajmniej na inną drogę. Jest to właśnie znamiennym rysem naszych dążeń narodowych w epoce porozbiorowej, że zawsze wyraźnie lub domniemanie celem ich było odtworzenie polskiej organizacyi państwowej, że zawsze opierały się na prawach historycznych i tradycyi politycznej. Każde stronnictwo polityczne, które chce być polskiem, z drogi tej nie schodzi lub wejść na nią musi, wyjątku nie stanowi, nawet srronnictwa najskrajniejsze. Z tem powinni się liczyć wszyscy, którzy chcą iść z nami i działać łącznie. I niewątpliwie prędzej czy później pójdą, kiedy przekonają się, że każda inna droga jest dla nich gorszą, że z nami idąc, zyskują stosunkowo najwięcej, chociaż na razie nie tyle może, ile rozbudzone ich aspiracye wymagają. Litwini zaś pójdą bodaj najpierwsi, bo więcej, niż inni, mają zdrowego rozsądku i więcej interesów wspólnych z nami i zrozumieją prędzej, że na własnej swej sile, chociażby ją najbardziej wytężyli, polegać w zupełności nie mogą.

OŚWIATA LUDU W GALICYI.

II.

Czytelnie ludowe.

Obok dobrze zorganizowanych szkół ludowych, dalszym, niemniej ważnym środkiem szerzenia i pogłębiania oświaty są czytelnie. Szkoła sama żadną miarą wystarczyć nie może, ona zresztą nie daje nawet oświaty w ogólnem, obszernem tego słowa znaczeniu, tylko przygotowuje grunt pod jej zasiew późniejszy. Wpływ szkoły trwa stosunkowo krótko i odnosi się wyłącznie prawie do dziatwy, której wiek i pojęcia wymagają szczególnych, właściwych im środków pedagogicznych. Dziatwa w szkole wychowuje się raczej niż uczy, a w najlepszym razie wynosi z niej zaledwie podstawę dalszego kształcenia się t. j. znajomość czytania i pisania, prawdziwą zaś oświatę, tę, która uświadamia, kształci i uobywatelnia, zdobywać musi dopiero w następnych latach, zarówno czytaniem książkowem, jak przez doświadczenie życiowe, utrwalając w sobie, rozwijając i uzupełniając pierwotne, elementarne wiadomości, z szkolnej książki czerpane. Tu właśnie pomoc czytelni jest prawie niezbędną, a zawsze wielce pożądaną. Chodzi o to, żeby młodzież nie zatracała pierwszych początków wiedzy, w szkole nabytych, lecz żeby mogła rozszerzać stopniowo swój widnokrąg umysłowy, wyrabiać w sobie ochotę życiową i zdrowy pogląd na świat, odnosić z pokarmu duchowego korzyść dla siebie, przetrawiać go własnym rozumem i dojść wreszcie do tego stopnia oświaty, aby zrozumieć, że wszystko, co wie, umie i może, oddawać winna na usługi społeczeństwu, dla dobra ogółu. W ten sposób dopiero wychowawczy wpływ szkoły, poparty i utrwalony kształcącym wpływem czytelni, staje się naprawdę realnym i w skutkach zbawiennym.

Poprzednio już, omawiając rozwój Towarzystwa Szkoły ludowej, wspomnieliśmy, że statut tej instytucyi między innemi środkami działania wskazuje jej także zakładanie czytelń. »Szkoła ludowa« wszakże, powołana przedewszystkiem do skutecznego plewienia chwastów, wynaradawiających naszą niwę ludową, z natury rzeczy zwracać musi główną uwagę na swe istotne, naglące, z ogólno-narodowego stanowiska ważniejsze zadania, a czytelniami posługiwać się może rzadziej, nadprogramowo niejako i tam jeno, gdzie wobec wrogich żywiołów lud nasz rychłej potrzebuje ochrony, a gdzie stawianiu szkół polskich przeszkadzają na razie poważne trudności miejscowe. Z dotychczasowej działalności Zarządu głównego Tow. Szkoły ludowej przebija też niedwuznacznie pewna rezerwa w zakładaniu czytelń, pewien system w tworzeniu ich wyłącznie na kresach śląskich. I słusznie. Rozpraszanie bowiem niełatwo zdobywanych zasobów na czytelnie w kraju, krępowałoby swobodę działania instytucyi w innych, donioślejszych kierunkach, jej samej nie wyszłoby na zdrowie, a wytwarzałoby nadto wcale zbyteczną konkurencyę w dziedzinie pracy, którą inne Towarzystwa, wyłącznie czytelniom poświęcone, od lat kilkunastu już nie bez powodzenia uprawiają. Całokształt zresztą oświaty ludowej jest tak wielki, że jedna instytucya, nawet stokroć od dzisiejszej naszej »Szkoły« zasobniejsza, nie byłaby poprostu w stanie objąć go własnemi siłami i wypełnić obfitą treścią. Wszędzie, a tymbardziej tu, w naszych zwłaszcza warunkach, wskazany podział pracy czyni ją łżejszą, produkcyjniejszą, prędzej i pewniej prowadzi do celu.

Towarzystwa zakładania czytelń ludowych i roztaczania nad niemi pieczy powstały w Galicyi na wzór podobnych, starszych nieco instytucyi w Wielkopolsce, przed laty czternastu, równocześnie z Towarzystwem kółek rolniczych. Były to czasy szczególnie żywo rozbudzonego ruchu na polu podnoszenia oświaty i dobrobytu ludu. W r. 1882 powstaje najpierw Towarzystwo »Oświaty ludowej« we Lwowie, Kraków nie daje się wyprzedzić i w tym samym roku podobną zakłada instytucyę, a za tym przykładem idą wnet większe miasta prowincyonalne, Przemyśl, Rzeszów, Stanisławów, Nowy Targ, Tarnów. Nie wszystkie te instytucye uchowały się, prowincyonalne po większej części w powijakach jeszcze zakończyły swój żywot, a dwie tylko, stołeczne, przetrwały szereg lat i, mimo nienajpomyślniejszych warunków rozwoju, dziś już wykazać się mogą dorobkiem, który bądź co bądź na uwagę zasługuje. Treściwe przedstawienie dziejów każdego z tych Towarzystw, jednakie mających cele i mniej więcej temi samemi zdążających ku nim drogami, posłuży nam do wysnucia na końcu kilku ogólnych uwag, które odnosić się będą do całej dotychczasowej akcyi na polu czytelń ludowych w Galicyi. Przegląd nasz rozpoczniemy od krakowskiego Towarzystwa oświaty ludowej, raz dlatego, że instytucya ta, niewątpliwie z podobnych najruchliwsza, stosunkowo najwięcej dotąd w omawianym kierunku zdziałała, powtóre, że w rozwoju swym przechodziła fazy charakterystyczne, których wytłómaczenia szukać należy w specyalnej atmosferze duchowej Krakowa.

Myśl założenia w Krakowie Towarzystwa oświaty ludowej, podniesiona najpierw w ścisłem gronie ludzi dobrej woli, a następnie na dwóch wcale licznych zgromadzeniach, których »obszerna sala rady miejskiej pomieścić nie była w stanie«, zamieniła się rychło w czyn. Z początkiem kwietnia 1882 roku ułożono statut, w miesiąc później uzyskano zezwolenie władz, a z dniem 25. czerwca pierwszy wydział Towarzystwa, pod przewodnictwem prezydenta miasta dra Ferdynanda Weigla, rozpoczął energiczną działalność. »Zapał dla sprawy rośnie — czytamy w sprawozdaniach ówczesnych, — z różnych stron kraju od osób bardzo poważnych, duchownych i świeckich, otrzymuje Wydział życzenia »Szczęść Boże« i zapewnienia, że instytucya dla ludu tak pożyteczna, zawiązała się na czasie, że jest niezbędną i godną poparcia«. Od pierwszej chwili Towarzystwo kieruje się zasadą oddziaływania na lud w duchu narodowo-religijnym, na religijność zwłaszcza szczególny kładzie nacisk. Przy zakładaniu czytelń ucieka się do pośrednictwa proboszcza, szkoły i dworu, »uznając za rzecz konieczną współdziałanie tych trzech w gminie czynników«. I rzeczywiście, zarówno księża, jak nauczyciele ludowi garną się z ochotą pod sztandar »oświaty ludowej«, biorą czynny udział w otwieraniu czytelń, zgłaszają się licznie do kierowania niemi. Pierwsze doroczne sprawozdanie Towarzystwa wykazuje 1160 członków, a 29 założonych czytelń i bezpłatnych wypożyczalń. Wydział wszakże nie zadawala się tym jednym kierunkiem działania, zwraca od początku uwagę na praktyczną stronę kształcenia ludu, otwiera przy jednej ze szkół podmiejskich kurs ogrodnictwa, sadownictwa i pszczelnictwa z ogrodem wzorowym, kurs rolnictwa przy drugiej, rozdziela między kierowników kilku szkół kwoty pieniężne na naukę robót kobiecych, zastosowanych do potrzeb ludu wiejskiego, urządza wreszcie kurs języka polskiego dla dorosłej młodzieży żydowskiej w Krakowie, uchwala wnieść petycyę do Sejmu w sprawie zniesienia chajderów.

Wszystko więc zrazu zapowiada się pięknie. Szybko, przebojem niejako zdobyta popularność rokuje Towarzystwu rozwój pod każdym względem pomyślny, śmiały ton męskiej inicyatywy zjednywa mu powszechną sympatyę. Aliści nagle, jak grom z jasnego nieba, pada na młodą, Bogu ducha winną instytucyę — klątwa. Z datą 22 stycznia 1883 r. pojawiają się kościelne „*Notificationes*“, w których biskupi konsystorz krakowski przestrzega duchowieństwo dyecezyi, aby nie brało udziału w pracach Towarzystwa, gdyż »nie ma ufności, że Towarzystwo działać będzie na lud wiejski w duchu ściśle katolickim«...

Okólnik ten wywarł niemałe wrażenie. Na razie nie umiano sobie nawet wytłómaczyć powodów, dla jakich został wydany, działalność bowiem instytucyi w niczem w ogóle »ducha ściśle katolickiego« nie obrażała, przeciwnie, Wydział Towarzystwa, jak zaznaczyliśmy wyżej, dla pozyskania możliwie najszerszych warstw, a nie zrażania nikogo, silniej może nawet, niż potrzeba było, akcentował swą katolickość i stwierdzał ją czynami. Zasiadali w nim ludzie najrozmaitszych przekonań politycznych, skrajni klerykali w rodzaju ks. Chotkowskiego, zdecydowani demokraci Asnyk, Romanowicz, umiarkowani zachowawcy i postępowcy, czerwoni i biali. Wszyscy się tu łączyli, podając sobie dłoń do wspólnej pracy na neutralnym terenie oświaty ludowej. Wszystkim jednak obcą była pierwotnie chęć wyzyskiwania Towarzystwa w celach stronniczych. Mimo to zaprzeczyć się nie da, że instytucya, jako taka, miała cechę wybitnie demokratyczną, a faktycznie dominujący w niej wpływ żywiołów postępowszych napełniał strachem polityków z obozu Stańczyków i był im solą w oku. Upozorowana kościelnymi względami »Przestroga« do duchowieństwa, które żarliwie solidaryzować się zaczęło z ideą Towarzystwa, w pomyśle swym miała cele nawskroś świeckie. Wyzierało z niej ostrze zamachu na instytucyę, która do tej pory nie czuła na sobie błogosławieństwa stańczykowskiej komendy. Nie tyle »duch ściśle katolicki«, jak raczej chęć opanowania Towarzystwa, oddania go pod rozkazy stronnictwa, narzucenia mu wreszcie cech wyznaniowych, bez których śmiało obejść się mogło, była istotną, prawdziwą pobudką do tego sprytnie obmyślanego zamachu. Dalsze dzieje przekonały, że tak było w rzeczywistości.

Okólnik biskupi odrazu wyrządził Towarzystwu dotkliwą szkodę. Przerażone duchowieństwo zaczęło się usuwać od udziału w otwieraniu czytelń ludowych, a gorliwsi w posłuchu dla władzy kościelnej księża uznawali nawet za stosowne z ambon piorunować na czytelnie, przez »masonów« zakładane. Wydział Towarzystwa próbował z początku rokowań z konsystorzem. Przedłożono mu obszerny memoryał, wyjaśniający intencye Wydziału i faktyczny stan rzeczy. Odpowiedź brzmiała nieprzychylnie. Gdy wreszcia sprawa przybierać zaczęła obrót coraz to mniej pomyślny, a spór z biskupem zaostrzał się nie na żarty, odwołał się Wydział do ogólnego zgromadzenia członków, które na wniosek dra Henryka Jordana uchwaliło wysłać do księcia kościoła deputacyę z przyrzeczeniem, że prezesem Towarzystwa stale na przyszłość wybierany będzie ksiądz, a w statucie zamieszczoną zostanie wyraźna wzmianka, iż »działalność Towarzystwa na lud będzie zgodną z zasadami wiary katolickiej«. W samej rzeczy też deputacya taka, z ówczesnym wiceprezesem dr. Adamem Asnykiem na czele, udała się do biskupa, który na tych warunkach przyrzekł poparcie. Na najbliższem zgromadzeniu walnem wybrano przewodniczącym ks. Pelczara, (który godność tę dotychczas piastuje), »niebezpieczne« żywioły z Wydziału usunięto, przeprowadzono zapowiedzianą zmianę statutu i przyjęto nadto zasadę, że w Wydziale zasiadać ma raz na zawsze po dwóch przedstawicieli duchowieństwa i nauczycielstwa ludowego.

Od tej chwili krakowskie Towarzystwo oświaty ludowej stało się instytucyą wyznaniową, silnie zabarwioną konserwatyzmem. Dopomogli do tego bezsprzecznie »demokraci« krakowscy swą przesadną, zbyteczną i zasadniczo szkodliwą powolnością w obec samowolnych, nieusprawiedliwionych niczem uroszczeń. Kapitulując bez oporu, popełnili błąd nie do darowania, sami się bowiem przez to pośrednio przyczynili do skrzywienia przewodniej idei Towarzystwa, z wyłącznością wyznaniową nic nie mającej wspólnego, do przeobrażenia instytucyi w narzędzie stronniczych zakusów. Mniejsza o to, że dali sobie z rąk wydrzeć własne swoje dzieło, ważniejsza, że zaprzepaścili zasadę, wyrządzając tem samem Towarzystwu jak najgorszą przysługę. Prawda, że okólnik biskupi pozbawił instytucyę na pewien czas poparcia ważnego czynnika, jakiem jest duchowieństwo po wsiach, ale pospieszna kapitulacya Wydziału odstręczyła od Towarzystwa cały, nieklerykalny ogół inteligencyi, niemniej szczerze sprzyjającej ludowi, a co gorsza, torowała drogę mniemaniu, że cokolwiek nie nosi na sobie piętna wyznaniowo-konserwatywnego, potępionem być musi i ostać się nie może. Zapewne, nie pora dziś wytykać błędy z przed lat kilkunastu i stare przypominać grzechy, chodzi atoli o czerpanie ze zmarnowanej przeszłości nauki na przyszłość lepszą. Ówczesny Wydział, świadom niesłuszności krzywdzących go ataków, gdyby był dalej robił swoje i w wytkniętym pierwotnie kierunku postępował śmiało naprzód, nie oglądając się na boki, na żadne nie zważając szykany, byłby niewątpliwie przetrwał z tryumfem i przełamał w końcu niechęć władzy biskupiej. Czyny byłyby ją przekonały najlepiej, że w czytelniach, przez Towarzystwo zakładanych, absolutnie nic nie ma zasadom kościoła wrogiego, i byłyby ją musiały wreszcie, prędzej czy później, usposobić dla instytucyi życzliwie. Tymczasem zdobyto się na krok bardzo ryzykowny, poddano się bez protestu, mimowoli pozorami słuszności usprawiedliwiono niezasłużoną klątwę i niebacznie oddano Towarzystwo na pastwę stronnictwa, które zasadniczo oświacie ludu niechętne, żadnej nie dawało rękojmi, że instytucya rozwijać się będzie dalej swobodnie, w kierunku na prawdę patryotycznym i kulturalnym.

Wydział przyjął dobrowolnie czarę upokorzenia i wypić ją musiał do dna. Mimo, że stało się zadość wszystkim pretensyom konsystorza biskupiego i mimo, że uzyskano wreszcie słowne przyrzeczenie poparcia, przeszło dwa lata trzeba było czekać na odwołanie kurendy. Przez ten czas Towarzystwo chyli się do upadku. Liczba członków spada do połowy. Z drugiej strony wymierza na instytucyę cios równie dotkliwy krajowa Rada szkolna, zabraniając używania izb szkolnych pod jakimkolwiek pozorem na cele Towarzystwa. Skutkiem tego zakazu, mającego swe źródło, podobnie jak wyż wspomniany okólnik, w zakulisowej robocie stańczyków, traci Towarzystwo znaczną liczbę nauczycieli ludowych, którzy zrzekają się kierownictwa czytelń i nie chcą ich w budynkach szkolnych umieszczać. Przez to cierpią nietylko czytelnie już założone, ale opóźnia się także zakładanie dalszych, tymbardziej, że w gminach wiejskich jedynem niemal miejscem dla czytelni jest szkoła, a jedynym zdolnym kierownikiem nauczyciel. Wydział

wnosi przeciw rozporządzeniu rady szkolnej pokornie motywowany protest, lecz załatwienie prośby o cofnięcie zakazu dłuższej ulega zwłoce.

Mija rok 1894, a konsystorz biskupi zarówno jak rada szkolna uparcie milczą. Dochodzi do tego, że nawet ksiądz prezes, zniecierpliwiony bezowocnem czekaniem na *probatur* biskupa, rezygnuje chwilowo z godności swojej. Rozporządzeniem z dn. 8. kwietnia 1885 dopiero konsystorz biskupi zaznacza łaskawie, że »Towarzystwo weszło na drogę, prowadzącą do celu, jakiśmy wskazali, a gdy obecnie i statut żądane zmiany uwzględnił, możemy spokojnie polecić Towarzystwo oświaty ludowej w Krakowie, jako zasługujące na zupełne zaufanie, przeto duchowieństwo dyecezyalne zechce udzielić poparcia zacnej działalności Towarzystwa, wziąć w pracach jego czynny udział, skoro o to wezwanem będzie«.

Wkrótce potem i rada szkolna krajowa przychylniejsze zajęła stanowisko, udzielając dla każdej czytelni z osobna zezwolenie używania sal szkolnych. Towarzystwo odetchnęło więc wreszcie spokojniej.

Zawisza.

SPRAWA KROŻAŃSKA W OŚWIETLENIU DOKUMENTÓW.

III.

Chwila ukazania się kozaków w Krożach jest końcem buntu i początkiem zemsty na buntownikach. Na widok trzechset pik, znanych dobrze z krwawej tradycyi, lud przestaje się opierać i szuka ucieczki.

Zdawałoby się, iż przedstawicielom władzy nie pozostawało nic, jak chwytać uciekających dla oddania ich w ręce sądu za opór legalnej, z ich stanowiska, władzy. Gubernator Klingenberg atoli wiedział dobrze, iż sądu odrazu zwołać nie można, że wyrok jego, zapadający długo po zajściu, nie wywrze należytego wrażenia, że metodą rządu panującego postrachem jest karać wszelki opór doraźnie na miejscu, tak żeby winowajcom i świadkom raz na zawsze odechciało się wszelkich prób w tym rodzaju. Gdzie rząd jest jawnym wrogiem narodu, tam tylko okrucieństwo może utrzymać na wodzy uczucia ludzkie, z niepohamowaną siłą pchające do oporu. Tak myślał Klingenberg, jako urzędnik rosyjski, jako gubernator w zabranym kraju.

Ale jakkolwiek w służbie urzędniczej zanika charakter indywidualny i pod mundurem ginie »ja«, odrębne od innych, w tym człowieku siedziało bądź co bądź wyraźne indywiduum, siedział Klingenberg z uszami Morela, urodzony typ zbrodniczy. Ten tchórz nikczemny w chwili niebezpieczeństwa, pertraktujący po szachrajsku ze zbuntowanym ludem, bez poszanowania swej osobistej godności i swego urzędu, oblewający się zimnym potem za plecami zbrojnych strażników wobec bezbronnego ludu — w chwili, gdy zobaczył w swem rozporządzeniu trzy setki kozaków, nagle zamienił się w najzuchwalszego okrutnika. Potrzeba zadosyćuczynienia za tyle godzin najpodlejszego strachu i upokorzenia ujawniła się gwałtownie w pożądaniu krwi i gwałtów wszelkiego rodzaju. Zaczęły się też mordy i gwałty, jakich Europa dawno nie widziała.

O tem, co nastąpiło po przybyciu kozaków, dokumenty urzędowe milczą. Podczas rozpraw sądowych także nie udało się tej sprawy wyciągnąć do światła. Gdy obrońca ks. Urusow, podczas zeznań Klingenberga, w charakterze świadka, zadał mu pytanie:

— A jakich środków gwałtownych użyto po wypędzeniu tłumu z kościoła?

Ten odrzekł:

— Użyłem środków, jakie uważałem za stosowne, opowiem zaś o nich jedynie na rozkaz sądu.

— To, co nastąpiło po wydaleniu tłumu z kościoła — zabiera głos prezydujący — do sprawy nie należy i dlatego proszę obronę pytań podobnych nie zadawać.

Podobny epizod powtórzył się z obrońcą Żukowskim.

Obrońca: A gdy katowano obnażony lud przy urzędzie gminnym, czy nie znaleziono broni?

Prezes: Proszę nie dotykać w pytaniach wypadków, które zaszły po przybyciu wojsk.

Te dwa momenty z rozprawy sądowej, znamienne zresztą dla rosyjskiego postępowania sądowego, najlepiej świadczą, iż rząd, nie mogąc ukryć gwałtów, dołożył wszelkich starań, ażeby nie pozostał po nich ślad w dokumentach urzędowych.

Generał-gubernator wileński telegrafował po zajściu ministrowi spraw wewnętrznych:

»Krożański kościół poklasztorny zamknięty został 10 listopada osobiście przez gubernatora, przy pomocy trzech sotni kozaków, którzy złamali uporczywy opór ludności miejscowej nahajami, nie używając broni«. Raport Klingenberga na imię generał-gubernatora opiewa: »... z tłumu ośm osób zraniono nieciężko nahajami; jedna osoba, uciekając przed kozakami wpadła w rzekę i utonęła«.

Te sprawozdania urzędowe, należące zresztą do dokumentów tajnych, są zbyt lakoniczne, ażeby mogły dać jakiekolwiek pojęcie o sposobie uśmierzenia buntu, powtóre zaś zawierają widoczny fałsz, wykazany nawet przez rozprawy sądowe, pomimo że z polecenia władzy wyższej, nie pozwalano tam całej sprawy wyjaśnić. Sami przedstawiciele władzy przyznali, że użyto broni palnej, tymczasem raporty temu przeczą.

Wobec takiego charakteru dokumentów urzędowych i wobec takiego zachowania się sądu, pragnącemu poznać prawdę należy jej szukać gdzieindziej, mianowicie w »liście osób poszkodowanych i zmarłych z powodu wypadków krożańskich«, sporządzonej na mocy informacyi prywatnych, oraz w »opisie wypadków krożańskich, sporządzonym w więzieniu wileńskiem przez oskarżonych«*).

Lista, o której mowa, podaje ofiary z imienia i nazwiska, z dodaniem przeważnie miejsca zamieszkania. Zawiera ona z konieczności tylko część poszkodowanych, bo w istniejących warunkach zebranie nazwisk było rzeczą niezmiernie trudną. W liście tej wymieniono 16 ludzi, którzy po zajściu w urzędzie gminnym otrzymali od 25 do 50 nahajów; 10 osób ranionych z rewolwerów, leczonych przez lekarzy (większość ze strachu ukrywała się i nie uciekała się do pomocy lekarskiej); 28 ciężko pobitych nahajami i poranionych w kościele; 13 kobiet zgwałconych przez kozaków po zajściu w kościele, pomiędzy temi 18-letnią dziewczynę zgwałconą przez 10 kozaków, i inną, gwałconą przez kozaków w ciągu dwóch dni; wreszcie 9 osób zmarłych — z tych dwie kobiety utonęły w Krożencie, jedna zmarła skutkiem zgwałcenia przez kozaków, reszta zaś skutkiem pobicia i ran.

---

*) *Proces Krożan* i t. d. str. 268 i 264.

To mówią listy imienne. Ile zaś było ofiar bezimiennych — tego nigdy pewnie wiedzieć nie będziemy. W państwach wschodnich takie rzeczy na wieki pozostają tajemnicą.

Trudno nam się silić na opis tego, co się działo po przybyciu kozaków. Trzebaby być świadkiem naocznym, ażeby skreślić okropny obraz w całej jego grozie. Niech czytelnik sprobuje go sobie odtworzyć z opisu, podanego przez oskarżonych, którego koniec tu przytaczamy, poczynając od sceny w kościele, gdzie Klingenberg pertraktował z ludem. Oto jego brzmienie:

»... Lud począł prosić protokółu o tem, że porąbano portrety i pobito ludzi. Prosili protokółu — Józef Brazłowski po rosyjsku, tudzież inni, których nie aresztowano, a to dlatego, że byli bez rąk i wogóle ciężko poranieni *). Gdyśmy tak rozmawiali, przypędzili kozacy, otoczyli kościół i pozostałych poczęli bić pałaszami i kłóć pikami. Lud rzucił się do ucieczki w różne strony. W pobliżu kościoła płynie rzeka Krożenta; kto się ku niej rzucił, tego w nią wparto i zepchnięto; kogo zaś pojmano pod kościołem, tego zbito, poczem o godzinie 9 rano wyniesiono Najśw. Sakrament z kościoła. Zbity Izydor Karpowicz leżał tam ledwie żywy i widział, jak wyniesiono Najśw. Sakrament oraz jak leżeli pobici i umarli. »Gdy kozacy i strażnicy — powiada Karpowicz — poczęli wynosić umarłych do chałupy Szarowskiego, wstałem ledwie żywy i poszedłem do miasteczka, gdzie mię aresztowano«. Roch Szarowski był w kościele i widział zabitych. Gdy wyszedł z kościoła, kozak ciął go po głowie, tak iż ledwie zdołał wejść do izby i drzwi zamknąć. Wtem poczęto drzwi łamać, a gdy przez wyłamane wdarł się kozak, poczęto znosić *martwych, których było około trzydziestu*. Szarowskiego natychmiast aresztowano, tak iż chata jego pozostała pustą. Jakóba Żutowta aresztowano na placu pod cmentarzem; on również wszystko widział. Felicyan Pietkiewicz był pod cmentarzem na placu; gdy kozak przeciął mu głowę, począł uciekać drogą nadbrzeżną i widział, jak kozacy ludzi topili. Pietkiewicz jest w liczbie aresztowanych. Jan Margiewicz widział zbitych pod chatą Zajewskiego. Doktór Ludwik Landsberg oglądał jedną kobietę i mówił, że nie żyje. Nadto z chaty Maryanny Martynkusowej wyrzucono przez okno trzy baby ledwie żyjące. Wszystko, cośmy tu opowiedzieli, *możemy pod przysięgą stwierdzić wszyscy* tu, w więzieniu, obecni.

»Następnie otoczono miasteczko kozakami i poczęto zewsząd spędzać lud; pobrano nawet i tych, którzy przybyli do miasteczka we własnym interesie. Po domach robili poszukiwania komisarze, strażnicy i kozacy z rozkazu gubernatora, który polecił brać wszystkich, oprócz Rosyan i Żydów, to jest brać katolików, co też uczyniono. Kto tylko wpadł w ręce, bez względu na to, czy był w kościele czy też nie był, każdego brano; brano nawet i tych, których o wiorstę spostrzeżono. Gdy wszystkich zgromadzono i ustawiono przy kancelaryi gminnej, wyszedł z niej gubernator i dał taki rozkaz: »Połowa kozaków niech ludu pilnuje, a reszta niech czyni co chce. Macie teraz wolę; oszczędzajcie tylko Żydów i Rosyan«. Gdy kozactwo poszło hulać — miasteczko pozostało jak po pożarze. Z pozostałymi kozakami gubernator począł karać lud kozackimi nahajami. Rozpoczęto od pierwszego; ten dostał 15 nahajów, inni otrzymali po 45. Dwaj strażnicy trzymali, a dwaj kozacy z obu stron ćwiczyli gołego człowieka. Wtem nadszedł ktoś z władzy *) i zabronił bić. Gubernator krzyknął do ludu: »na klęczki!« Lud ukląkł i począł płakać ze strachu, gubernator zaś rzekł: »Cóż, uznajecie teraz we mnie gubernatora? Mogę was wszystkich karać, jak psów, mogę ze skóry was obedrzeć; lecz się zlitowałem i więcej was nie karzę!«. Nakazawszy kozakom, aby nam nie folgowano, gubernator wrócił do kancelaryi. Skoro mrok począł zapadać, pomieszano kobiety z mężczyznami; kozacy i strażnicy bili mężczyzn nahajami po głowach i kopali ich nogami, jak się podobało. Podczas gdy kobiety stały z nami, więźniami, w jednej kupie, poczęli kozacy gwałcić je w naszych oczach..., a gdy nieszczęśliwe zalewały się łzami, okładali je nahajami po głowach i po całem ciele; skoro zaś który z mężczyzn odezwał się z czemś, tak w niego walono, że aż głowa pękała pod nahajami.

»W nocy z 10 na 11 listopada pędzono nas do kancelaryi gminnej w celu poszlakowania. Ustawiono w dwa szeregi strażników, którzy każdego tak bili po głowach, że ludzie ledwo żywi wchodzili do kancelaryi. Rozpoznawały nas władze. Gdy wyprowadzono, również bito nahajami każdego, gdzie się trafiło. Następnie nas pobitych dwie doby przetrzymano na zimnie i w ciągu tego czasu nie pozwalano dawać nam ani kawałka chleba, ani kropli wody. Potem pozwolono dawać jeść i kazano kozakom, żeby dopuszczano do nas; lecz z powodu kozaków kobiety nie mogły nosić jedzenia, bo oni je gwałcili; kobiety mogły przychodzić tylko tłumnie, lecz i to z trudnością. 13 listopada sędzia śledczy spytał nas: »czy dają wam strawne?« Odpowiedzieliśmy, że nie. Natychmiast sędzia śledczy ofuknął komisarza: »Dlaczego nie dajesz pan strawnego?« Strawne poczęto dawać od 14 listopada. Następnie wzywano nas przed sędziego śledczego 15 listopada w nocy. Sędzia badał nas tylko, jakeśmy tu trafili, gdzieśmy byli i jacy są tego świadkowie; a gdyśmy chcieli mówić, co z nami robiono i kto tak postępował, tego nawet słuchać nie chciał i nie zapisywał. Śmiało tedy rzec możemy, że na swoje usprawiedliwienie nic nie mamy. 16 listopada wysłano nas do miast powiatowych. Kto miał pieniądze, ten się wykupił od kozaków wówczas jeszcze, gdy nas aresztowano; kto zaś nie miał, ten wpadał w ich ręce; lecz i aresztowani, gdy ich dostarczono, jeżeli byli bogaci, to się uwalniali bądź przez komisarza, bądź przez kozaków, a biedacy, wykupu za siebie dać nie mogący, siedzą w więzieniu.

„*P. S.* Jeżeli kto zechce dowiedzieć się o kobietach aresztowanych i w domu pozostałych, które kozacy pogwałcili, to powinien sprawdzić wiadomość naszą, jakoby do 10 grudnia było 17 takich wypadków, w których kobiety przedwcześnie porodziły, a inne nawet poumierały od tego. Jeżeli chcecie więcej się dowiedzieć — spytajcie duchowieństwo«.

Nie mamy powodu opisowi temu nie wierzyć. Sporządzony on został przez ofiary zbrodni, wspólnie, a więc przy wzajemnem kontrolowaniu podanych faktów. Urzędowe źródła nie zaprzeczają mu, przeciwnie, sąd, zamykając usta adwokatom, usiłującym wyciągnąć do światła »środki gwałtowne użyte po wypędzeniu tłumu z kościoła« i »katowanie obnażonego ludu«, tem samem potwierdził, że gwałty te istotnie się działy. Natomiast trzeba zaznaczyć, że opis ten jest bardzo niedokładny, że nie daje pełni obrazu, ani pojęcia o właściwej liczbie ofiar. Trudno, ludzie ci opisywali to tylko, co widzieli.

*) Nie można ich było, naturalnie, stawić przed sądem, gdyż stanowiliby *corpus delicti* spełnionych okrucieństw. (*Przyp red.*)

*) Podprokurator sądu okręgowego kowieńskiego, Uljaninow.

Z opisu tego doskonale widzimy, że w Krożach nietylko władza mściła się w okrutny, właściwy sobie sposób na buntownikach, ale także korzystał z położenia Klingenberg, nikczemna jednostka, wymierzając sobie satysfakcyę na ludziach, którzy go zmusili do okazania strachu, do tego, że się przed nimi był upokorzył.

»Na kolana! Cóż uznajecie teraz we mnie gubernatora? Mogę was wszystkich karać, jak psów, mogę ze skóry was obedrzeć. Lecz zlitowałem się i więcej was nie karzę« (było to w chwili, gdy prokurator powstrzymał znęcanie się)!

Jakże znakomicie w tych słowach odbija się cały charakter nikczemnika i tchórza! Jakże musiał był drżeć ten nędznik ze strachu, kiedy potem czuł potrzebę takiej zemsty i takiego okazywania swej władzy!...

R. S.

WYKŁAD RELIGII W SZKOŁACH LUDOWYCH KONGRESÓWKI.*)

Nigdy prawie nie pisałem do gazet i wprawy w tem nie posiadam, biorę jednak dziś pióro do ręki, chcąc wyjaśnić nieco sprawę, znaną mi dokładnie, a dla ogółu polskiego niedość jasną. Mam na myśli kwestyę wykładu religii w szkółkach wiejskich w Królestwie Polskiem, poruszoną w nrze 10, na str. 124 *Przeglądu wszechpolskiego.*

Każdy nauczyciel, a więc i prefekt (nauczyciel religii) naznaczany jest przez władzę naukową, t. j. przez dyrektora szkół. Za księdza, którego dyrekcya, rozumie się, znać nie może, ręczy naprzód gmina uchwałą zebrania gminnego, która zależy prawie zawsze od pisarza gminnego. Wójci o sprawach gminnych przeważnie nie mają pojęcia, a pisarze, jak wiadomo, są naogół ludźmi najnikczemniejszego gatunku. Uchwała gminna idzie do zatwierdzenia do kancelaryi gubernatora, która przez żandarmeryę i policyę dowiaduje się, czy ksiądz jest „*błahonadieżnyj*". W razie zatwierdzenia, ksiądz dostaje pozwolenie na wykład — 3 godziny tygodniowo. Zdarza się to bardzo rzadko, mało bowiem jest księży, którym władza przyznaje »prawomyślność«. Jeżeli ksiądz, który miał prawo wykładu, przeniesiony zostaje na inną parafię, następca jego musi przechodzić tę samą operacyę, ażeby pozwolenie dostać. Wykład religii przez księdza, według przepisu władzy, odbywa się pod dozorem nauczyciela. Gdzie nauczyciel jest prawosławny, (zdarza się to dość rzadko, praca nauczyciela bowiem za nizko jest wynagradzana, aby chcieli się do niej brać przedstawiciele uprzywilejowanego wyznania), tam ksiądz miejscowy bez uchwał zostaje nauczycielem religii, której nauka się odbywa znów pod dozorem nauczyciela, chociaż jest nim Rosyanin i prawosławny.

Od r. 1868 do 1873 czy 1874 władza dokładała starań dla wprowadzenia nauki religii w języku rosyjskim. Potem tego zamiaru zaniechano i władze szkolne wobec nauki religii zachowują się tak, jakby jej nie było wcale. Dyrektor przy zwiedzaniu szkoły na religię uwagi żadnej nie zwraca, nie słucha dzieci z tego przedmiotu, tylko pp. naczelnicy powiatów i straży ziemskiej, podczas swoich wizyt, pytają, naturalnie w języku rosyjskim, o piąte przykazanie kościelne, i nasłuchują, czy czasem uczeń nie odpowie: »Dziesięciny kościołowi oddawać«, oraz o czwarte przykazanie boskie, uważając, czy dziecko odpowie: „*Słuchać panującego monarchy i urzędników jego*",*) poczem zadają pytania wyłącznie z języka rosyjskiego, z geografii i historyi Rosyi.

Sposób, w jaki mianuje się księży na nauczycieli religii w szkołach ludowych, objaśnia nam, dlaczego zaledwie w dwudziestej części szkół księża religię wykładają. Wogóle księża nasi chętnie uczyliby religii w szkółkach, gdyby im pozwolono. Ale władza stawia temu nieprzezwyciężone przeszkody, i nawet nauczyciel, który żyje w dobrych stosunkach z księdzem i stara się od niego nauczyć, jak ma religię wykładać, traktowany jest przez władzę, jako „*niebłahonadieżnyj*" i usuwany często z danej miejscowości. A trzeba to powiedzieć o nauczycielach, zwłaszcza młodych, że niedość znają zasady religii, nie są przygotowani do ich nauczania, a często, odznaczając się obojętnością religijną i nie spełniając obowiązków swego wyznania, wywierają wpływ całkiem przeciwny temu, czegoby się należało od nauczyciela religii spodziewać. Ksiądz nie może tego karcić publicznie, boby mu wytoczono proces polityczny.

Przy ukończeniu szkoły wiejskiej przez ucznia wydaje mu się świadectwo. Nauczyciel obowiązany jest jechać z kończącymi uczniami do miasta powiatowego, do szkoły miejskiej, i tam nauczyciel miejski pod dozorem komisarza włościańskiego egzaminuje uczniów z języka rosyjskiego i arytmetyki, ksiądz zaś winien egzaminować z religii, ale najczęściej tego się nie robi i w świadectwie zamieszcza się adnotacyę, że ucznia z religii nie słuchano. Z języka polskiego egzaminu niema, chociaż w szkółkach go się naucza (tylko 2 godziny tygodniowo na wszystkie trzy oddziały szkółki!)

Warsz. Dniewnik powiada, że tylko 94 gromady wiejskie podały od 1892 r. prośby o mianowanie księży nauczycielami religii. Jest to całkiem zrozumiałe, ze względu na to, cośmy wyżej powiedzieli, mianowicie, że w gminie rządzi przeważnie pisarz i że wiadomo, jak się władze załatwiają z uchwałą gromadzką, gdy im się ona nie podoba, gdy podany na nauczyciela ksiądz nie podoba się policyi. Obok tego obojętność gromad w tak ważnej sprawie ma jeszcze swą przyczynę w stanowisku, jakie wogóle lud nasz zajmuje względem szkoły rządowej. Naszego włościanina nie obchodzi, co się dzieje w szkole, bo nie ma on do niej żadnego przekonania, bo nie widzi z niej żadnego pożytku. Malca od pierwszej litery trzeba uczyć po rosyjsku — dziecku to przychodzi z niezmierną trudnością, a rodzice nie widzą w tem żadnego pożytku, ani dbałości ze strony rządu o oświatę. Nasz włościanin chciałby przedewszystkiem, żeby dziecko jego nauczyło się czytać na książce do nabożeństwa, w języku, w którym się modli, a więc ojczystym, widząc zaś, że nauczyciel tego nie uczy, traci do niego zaufanie i woli, żeby się dzieci wcale nie uczyły. Chętniej posyłają włościanie swe dzieci do szkoły tylko w zimie, żeby nie darły butów na lodzie.

Gałązka.

*) Artykuł ten otrzymujemy od człowieka, który, stykając się bezpośrednio przez wiele lat ze szkołą ludową w Królestwie, miał sposobność gruntownie poznać wewnętrzne jej stosunki. Mamy nadzieję, że autor zechce i nadal zasilać nas swemi informacyami, za które będziemy mu bardzo wdzięczni. *(Przyp. red.)*.

*) O tej urzędowej przeróbce czwartego przykazania boskiego czytelnicy nasi prawdopodobnie pierwszy raz słyszą. Smutny to fakt, ale fakt *(Przyp. red.)*.

Z CAŁEJ POLSKI.

List otwarty hr Dzieduszyckiego. Nowy zwrot w polityce ugodowców. Pouczające znaczenie stosunków śląskich. Ruch narodowy w zaborze pruskim musi być ludowym.

Pospieszne przygotowywanie list wyborców z piątej kuryi nasuwa, pomimo zaprzeczeń półurzędowych, przypuszczenie, że wkrótce mogą się odbyć wybory do Rady państwa, ma się rozumieć według nowej ustawy. Zaznaczamy to warunkowo, bo wierzymy, że hr. Badeni wolałby je odłożyć do wiosny i rządzić tymczasem z izbą, którą zna, od której wie, czego się spodziewać może. Ze względu jednak na stosunek lewicy niemieckiej do rządu i na sprawę ugody z Węgrami wcześniejsze rozwiązanie Rady państwa nie jest nieprawdopodobnem. Centralny komitet wyborczy zaczął już przygotowywać t. zw. opinię publiczną, a powtarzające się coraz częściej zakazy zgromadzeń publicznych lub nawet prywatnych, za zaproszeniami zwoływanych, świadczą, że zbliża się chwila stanowcza.

W poprzednim numerze mówiliśmy już o uchwale komitetu centralnego, który zebrał się na naradę 8 lipca. Wkrótce potem hr. Wojciech Dzieduszycki ogłosił w dziennikach list otwarty, wyjaśniający poglądy komitetu i obiecujący wyborcom wszelką swobodę. P. Dzieduszycki, który przed rokiem, także w liście otwartym, wzywał wyborców, żeby nie głosowali na radykałów, na ludzi, pragnących wywrócić porządek społeczny, nie chce teraz krępować swobody przekonań, pozwala łaskawie ubiegać się o mandaty kandydatom najjaskrawszym, zgodziłby się nawet bodaj na socyalistów, byle tylko zobowiązali się wstąpić do Koła i zachować tam solidarność.

Da liegt der Hund begraben. Widocznie solidarność jest najcenniejszem dobrem, złośliwi mówią — najkorzystniejszym interesem, dla dzisiejszych przedstawicieli Galicyi. Ażeby ocalić to święte »palladium« rządów szlacheckich, gotowi są do ofiar znacznych, bo spodziewają się następnie, dzięki tej zasadzie, powetować sobie straty i szkody. P. Dzieduszycki, *enfant terrible* obozu zachowawczego, lekkomyślnie odsłonił przeciwnikom najsłabszy punkt pozycyi, na który z pewnością główny atak skierują. Niewątpliwie ani stronnictwo ludowe, ani socyaliści na żaden kompromis w tej sprawie się nie zgodzą. Zasadę solidarności poselskiej możnaby ocalić jedynie ścisłem określeniem jej granic, jak to poprzednio niektóre pisma radziły. Tymczasem jej obrońcy o żadnych zmianach słyszeć nie chcą i domagają się solidarności zupełnej, twierdząc dowolnie, że »każda sprawa w parlamencie, w którym Polacy zasiadają obok innych, jest narodową«.

Zasada w ten sposób sformułowana, jest po prostu niedorzecznością i pozwalamy sobie wątpić, czy nawet większość członków komitetu centralnego zgadza się na zdanie swego prezesa. Przeciwnicy bezwzględnej solidarności postawili i wciąż powtarzają pytanie: kiedy, w jakiej sprawie solidarność Koła polskiego okazała się niezbędnie potrzebną i pożyteczną dla kraju? Na to pytanie nikt dotychczas nie odpowiedział, a frazesy, że »o to nie wolno się Polakom spierać« nie przekonają wątpiących.

Jedynym argumentem, mającym jakiś pozór słuszności, jest zdanie: »Wobec ludzi, którzy nie są Polakami, musimy występować jako jeden mąż (?), jako jeden naród, skoro nie ma politycznego organizmu narodowego, któryby w imieniu wszystkich Polaków przemawiał«. Gdyby Koło chociaż raz jeden obowiązek ten spełniło, miałoby podstawę do obrony solidarności. Ale czy kiedykolwiek zaprotestowało przeciw gwałtom i bezprawiom, popełnianym w Prusiech i Rosyi, czy wystąpiło kiedykolwiek w imieniu narodu polskiego? Nie, Koło zdobyło się tylko »w imieniu wszystkich Polaków« na złożenie hołdu pośmiertnego Aleksandrowi III., i ten jeden poseł, który protestem swoim uczucia całego ogółu wyraził, zerwać musiał solidarność.

List hr. Dzieduszyckiego jest bądź co bądź abdykacyą ze stanowiska, dotychczas zajmowanego przez stronnictwa rządzące. Uznać one musiały prawowitość ruchu ludowego, ale uznały za późno, żeby ocalić to, o co najwięcej im chodzi. Stronnictwo, które abdykuje, właściwie przegrało już sprawę, chociaż wątpliwości nie ulega, że w przyszłych wyborach zdobędzie jeszcze większość znaczną mandatów. Straciło przywilej przedstawicielstwa, który stanowił jego siłę, czuje to i rozumie, chwyta się więc rozpaczliwie zasady solidarności — bo to ostatnia deska ratunku. Wybranie do parlamentu chociażby kilku tylko niezależnych posłów polskich wytworzy bardzo niebezpieczne dla Koła współzawodnictwo. Posłowie ci mają w ręku niezawodny środek zyskania popularności — interpelacye, które dotychczas w sprawach, żywo obchodzących opinię publiczną w kraju, wnosili zazwyczaj Niemcy lub Czesi. Ze 119 interpelacyj, wniesionych do rządu w ciągu ostatnich 9 miesięcy, jedną tylko podpisało Koło. O krzywdy osób pojedyńczych, gmin, miast, całych warstw ludności, lub nawet całego kraju upominali się zwykle w Radzie państwa posłowie obcy. Jeżeli w przyszłości niezależni posłowie polscy energicznie ale rozważnie interpelować będą w sprawach galicyjskich, to albo zmuszą Koło do zmiany taktyki, albo osłabią bardzo stanowisko jego w kraju.

Niepomyślnym również dla polityki Koła objawem jest usuwanie się posłów dotychczasowych z życia publicznego. Nie chce posłować do Rady państwa p. Szczepanowski, składa mandat ks. Kopyciński, jeden z niewielu posłów, przychylnych sprawie ludu. Ustąpienie tych dwóch posłów jest faktem znamiennym. P. Szczepanowski, człowiek ambitny i wrażliwy, nie chce zapewne narażać się na możliwą porażkę i zniechęcił się do działalności politycznej, w której nieszczególnie mu się wiodło. Sojusz z zachowawcami skompromitował go w opinii publicznej, przyjaciele jego, pp. Rutowski i Lewicki zbankrutowali moralnie, sławy ani wpływu nie zyskał. Jest człowiekiem rozumnym i widzi, że dalej tą drogą iść nie warto, a na nową wstąpić nie chce lub nie może. Ks. Kopyciński, wybrany był przez lud wbrew stronnictwu rządzącemu, które go nazywało czerwonym radykałem i oskarżało, że »nóż zakrwawiony chowa pod suknią kapłańską«. W Kole przystosował się powoli do większości, ale gdy ruch ludowy się rozwinął, gdy wypadało mu oświadczyć się za jedną lub drugą stroną, poczuł, że dwom panom służyć nie może. Zaczyna się więc, z początku dobrowolna, »eliminacya gatunków pośrednich«.

Innego rodzaju abdykacyę, nie mniej wszakże od poprzedniej znamienną, zauważyć można od pewnego czasu w taktyce ugodowców warszawskich i ich organu krakowskiego. Kiedy wyjeżdżały deputacye na pogrzeb Aleksandra III. i na koronacyę do Moskwy, łudzono społeczeństwo nadziejami, że w zamian za te objawy lojalizmu otrzyma pewne ulgi, rozgłaszano nawet szczegóły o oczekiwanych »łaskach«, powiększano umyślnie drobne fakty i przedstawiano je jako zapowiedź zmian

doniosłych. Dziś, gdy już najnaiwniejsi łudzić się przestali, gdy po zawiedzionych nadziejach nastąpiło, naturalnym porządkiem rzeczy, przykre rozczarowanie, ugodowcy musieli zmienić taktykę. W artykułach wstępnych *Czasu*, w »listach z Warszawy«, podpisanych *Ja*, w »Obrachunkach politycznych« Publicysty z Warszawy czytamy błagania i przestrogi, żeby nie oddawać się pesymizmowi. Zjawiła się nawet nowa, *ad hoc* wymyślona doktryna polityczna, że powinniśmy być lojalni nie ze względu na stosunki zewnętrzne, ale dla tego, że jest to potrzebą wewnętrzną naszego społeczeństwa. Nie trzeba mówić o polityce ugodowej, ale o polityce wiernopoddańczej, o zlaniu się z Rosyą, a raczej o »wejściu do środka państwa; chociażbyśmy nic nie dostali, powinniśmy być lojalni dla samych siebie.

Zgodność tych dowodzeń nasuwa przypuszczenie, że autorem artykułów, listów i broszur jest »publicysta z Warszawy«. Ma on istotnie taką tuszę, że możnaby z niego wykroić trzy osoby, ale, niestety, ani rozumu, ani talentu, ani wiadomości politycznych, nie starczy nawet na jedną. Powoływanie się na przykład Galicyi i stańczyków niczego nie dowodzi i świadczy tylko o nieuctwie polityków ugodowych. Lojalizm w Galicyi nie był wcale potrzebą wewnętrzną, nie poprzedzał zmiany stosunku społeczeństwa do rządu, ale zjawił się jako jej następstwo. W obec uporczywej ignorancyi i złej woli powtarzać trzeba niejednokrotnie rzeczy znane i my więc od tego obowiązku uwolnić się nie możemy. Błędnem jest przedewszystkiem zdanie, że rząd austryacki wstąpił dopiero na drogę ustępstw w r. 1867, bo już w r. 1861 dał Galicyi pewne ulgi. Jednakże ani wtedy, ani później lojalizm nie stał się »potrzebą wewnętrzną społeczeństwa«. W r. 1867 Galicya otrzymała to wszystko, co otrzymały inne kraje koronne i bynajmniej nie ze względu na zachowanie się społeczeństwa polskiego, ale ze względu na interes państwa. Wówczas Polacy dopiero zaniechali opozycyi bezwzględnej, a inicyatorem tego zwrotu był człowiek, który do śmierci lojalistą z przekonania nie został. Stańczycy żadnego wpływu na zmianę polityki i uczuć społeczeństwa nie mieli, dla tego poprostu, że ich w r. 1867 nie było. Ani »znakomity historyk«, ani znakomity hrabia profesor, ani znakomity *maître de jeu*, żadnego wpływu nie wywarli, bo wówczas nikt o nich nie wiedział i inne jeszcze przekonania wyznawali. Zmianę w przekonaniach i taktyce politycznej spowodowały fakty, a stańczykowska doktryna lojalizmu zjawiła się już *post factum*, i celem jej nie była troska o interesy narodu, bo te już dostatecznie utrwalono i zabezpieczono, ale troska o interesy pewnej grupy społecznej, o zapewnienie jej przywileju politycznego. Zalecanie lojalizmu, jako wewnętrznej potrzeby społeczeństwa, którą zaspokoić trzeba, nie trafi do przekonania szerszych warstw. Polityka, która chce osiągnąć rezultaty praktyczne, nie może zdobywać sobie wpływu rozumowaniami ogólnikowemi. Ci, którzy teraz wystąpili w roli ugodowców, od lat kilkunastu przekonywali społeczeństwo, że powinno prowadzić politykę interesów. Ogół, nawet ogół wykształcony pyta ich dziś — i słusznie — jaki interes przedstawia dla nas lojalizm, co na nim zyskujemy, nie tylko w danej chwili, ale i w bliskiej przyszłości, i nie czuje wcale, żeby wejście do państwa rosyjskiego, bez przyznanego jawnie i urzędowo prawa wstępu, było jego potrzebą wewnętrzną. P. Górski, uzasadniając potrzebę wysłania deputacyi na pogrzeb Aleksandra III, przytoczył jako argument, że my Polacy w takiej chwili powinniśmy stanąć przy tronie monarchy, ale przedstawiciele inteligencyi warszawskiej zrozumieć tego argumentu nie mogli i na pogrzeb nie pojechali. Z pewnością i »potrzeby wewnętrznej« nie zrozumieją teraz i nie odczują.

Rezultat wyborów do parlamentu niemieckiego w okręgu löwenberskim (lwowskim) na Śląsku, z wielu względów jest dla nas pouczającym, chociaż bezpośrednio nas nie dotyczy. Centrum popierało tam kandydata zachowawczego, hrabiego Nostitza, ludność katolicka głosowała jednak w znacznej części za kandydatem wolnomyślnym i zapewniła mu zwycięztwo. Na Śląsku występują najjaskrawiej istniejące w łonie stronnictwa katolickiego sprzeczności. Stało się ono tam, jak się pewien ksiądz wyraził, »agenturą konserwatystów«, wyborcy zaś chcą, żeby było stronnictwem ludowem. Dopóki główną działalność partyi stanowiła walka o prawa kościoła katolickiego, różnorodne żywioły, z których stronnictwo się składa, szły zgodnie. Po ustaniu walki kościelnej wystąpiły na jaw i coraz ostrzej się zaznaczają przeciwieństwa interesów klasowych, jak na Śląsku — wielkich właścicieli ziemskich z jednej, a włościan i robotników z drugiej strony. Posłowie katolicy ze Śląska występowali nieraz w parlamencie przeciw żądaniom ludu. Gdy w maju r. 1893 hrabiowie Ballestrem, Matuschka, Chamare, baron Huene i Porsch głosowali za projektem wojskowym, obciążającym ludność nowymi podatkami, lud śląski nie wybrał ich potem na posłów.

Nic nie pomogła magnatom zmiana organizacyi wyborczej. »Ich plan, mówi ***Freisinnige Zeitung***, dostał maczugą w łeb przez wybór posła Radwańskiego, a poprzednio przez wybór Szmuli i Strzody«. Kandydaci polscy w znacznej mierze zawdzięczają zwycięstwo temu, że byli kandydatami ludowymi. Oprócz Polaków głosowali na nich, nieliczni wprawdzie, Niemcy chłopi i robotnicy. Walka jest tam nietylko narodową, ale i społeczną. Ta okoliczność, że ruch narodowy polski na Górnym Śląsku jest wyłącznie ludowym, szczerze demokratycznym, daje mu już dziś nie małą, a w przyszłości dać może wielką siłę polityczną. Do czasu żywioł polski nie może jeszcze występować zupełnie samodzielnie, ale skoro się wzmocni trochę i wytworzy własną inteligencyę demokratyczną, wywierać zacznie wpływ przyciągający nawet na Niemców, bo przeciwieństwa społeczne raczej wzmagać się będą, aniżeli słabnąć. Jest to jeden z powodów, dla czego Polacy, dopóki zmuszeni nie będą, nie powinni oddzielać się na Śląsku od centrum, ale powinni natomiast kandydaturom magnackim centralnego komitetu wyborczego przeciwstawić swoich kandydatów ludowych, i to nietylko w okręgach z przeważającą ludnością polską.

Stosunki górno-śląskie są pouczające i dla innych dzielnic. Na Warmii nie ma wcale większych właścicieli polskich, w Prusiech Zachodnich w niektórych powiatach po kilku ledwie zostało. Z Poznańskiego ciągle nadchodzą smutne wiadomości o sprzedażach majątków komisyi kolonizacyjnej, Landbankowi lub prywatnym nabywcom Niemcom. Po licytacyi Dąbrówki zdążyli już sprzedać swoje majątki komisyi pp. Morawski i Chełkowski, ludzie zamożni, a dzienniki miejscowe przebąkują, że i hr. Mielżyński dobija targu o swe dobra. Panowie prędko jadą, i jeżeli dalej tak pójdzie, a zdaje się, że pójść musi, to za lat dziesięć i w Wielkopolsce nie wiele ziemi w ręku szlachty zostanie. Wprawdzie na posłów długo jeszcze obywateli ziemskich wystarczy, ale ludowi sprzykrzyć się może wybieranie urodzonych przedstawicieli. Z utratą stanowisk społecznych musi

*

iść w parze utrata kredytu moralnego, lekkomyślni trwoniciele, niedołęgi lub spekulanci nie powinni być przewodnikami zdrowego i czującego siłę żywotną społeczeństwa. Dziś już zresztą sprzeczność interesów wybieranych i wyborców nieraz na jaw wychodzi. Ruch narodowy polski w zaborze pruskim musi stać się ludowym, demokratycznym, dla tego po prostu, że w tym duchu przeobrażają się tam nasze stosunki społeczne. Jest to konieczność, której uniknąć nie można, a więc liczyć się z nią trzeba, która im prędzej nastąpi, tym lepiej, bo wszelki stan przejściowy jest przykrym i niebezpiecznym. Jeżeli bowiem sprzeczność interesów społecznych zaostrzy się więcej, może się zdarzyć, że postępowe i radykalne stronnictwa niemieckie zyskiwać zaczną potrochu wyborców polskich, jak już dziś tu i owdzie zyskują ich socyaliści. Tymczasem jest rzeczą zupełnie możliwą, że demokratyczni kandydaci polscy, którzy wystawiliby program wyborczy, uwzględniający interesy ludu, nie jeden głos niemiecki by dostali w walce z kandydatem zachowawczym. Dziś wydaje się to nieprawdopodobnem, chociaż i dziś tacy np. Niemcy, którzy w Grudziądzu łajali w gazecie polskiej swego *Geselligera*, głosowali by z pewnością na naszego kandydata demokratycznego. Zdarzało się przecież, że przy wyborach ściślejszych część Niemców głosowała na kandydata polskiego. Okręgi niemieckie w prowincyach wschodnich wybierają po większej części zachowawców i narodowych liberałów, t. j. przedstawicieli stronnictw, wrogich interesom ludu zarówno polskiego, jak niemieckiego. Naturalnie, teraz Niemiec woli wybierać swego, niż polskiego szlachcica, ale trochę by inaczej było, gdyby kandydat polski przedstawiał interesy ludu, a kandydat niemiecki interesy warstw uprzywilejowanych. Musiałby też zmienić się nietylko kierunek naszej polityki, ale i taktyka. Dziś, kiedy hakatyści rozbudzają namiętności narodowe, myśl jednania sobie wyborców niemieckich wydać się może mrzonką, pamiętać jednak trzeba, że masy ludowe niemieckie nie mogą się przejąć sztucznie fabrykowaną nienawiścią, że cała działalność H. K. T. opiera się głównie na żywiołach inteligentnych, obawiających się utracenia stanowisk uprzywilejowanych.

Tak przyzwyczajeni jesteśmy do działalności czysto obronnej, do wyrównywania strat wciąż ponoszonych, że przewidywanie innej przyszłości uważamy zwykle za złudną fantazyę. Ale jeżeli choć na chwilę oderwiemy myśl od spraw codziennych i pozwolimy jej objąć szersze widnokręgi, jeżeli wnikniemy w znaczenie tego procesu społecznego, który się w naszych dzielnicach zachodnich odbywa, zrozumiemy, że zespolenie naszych interesów narodowych z obroną praw i potrzeb masy ludowej jest koniecznością, którą należy sobie zawczasu uświadomić, do której dziś już trzeba przystosowywać się powoli.

J. L. Jastrzębiec.

Z ZABORU ROSYJSKIEGO.

Warszawa 27 lipca.

Ważna reforma. Jej powody i znaczenie. Prasa warszawska wobec spraw rosyjskich. Parę słów o jednym numerze *Gazety warszawskiej.*

»Celem najlepszego zabezpieczenia porządku i spokoju w *kraju priwislinskim*, uznawszy za rzecz konieczną najbliższe kierownictwo w tych sprawach powierzyć warszawskiemu generał-gubernatorowi, Najmiłościwiej rozkazujemy...«

Tak się zaczyna najnowszy ukaz cara Mikołaja, wydany w Peterhofie 9 lipca (27 czerwca ss.) do rządzącego senatu. Ukaz ten wprowadza doniosłą reformę, polegającą w głównych punktach: 1) na zniesieniu warszawskiego okręgu żandarmskiego i 2) na ustanowieniu urzędu pomocnika generał-gubernatora do spraw policyjnych, mającego, zarząd spraw »tyczących się zapobiegania przestępstwom stanu w guberniach Królestwa polskiego i ich badania«, oraz posiadającego przy swym boku osobną kancelaryę, która sprawy ma prowadzić.

Na przyszłość tedy sprawy polityczne będą prowadzone przez urzędników kancelaryi pomocnika generał-gubernatora, do której, jak opiewa ukaz, »pozwala się mianować na urzędy klasowe oficerów oddzielnego korpusu żandarmów«.

Przedewszystkiem warto się choć krótko zastanowić nad motywami tej reformy. Niewątpliwie prawdę mówi ukaz carski, że chodzi tu o »najlepsze zabezpieczenie porządku«, o jak najskuteczniejsze tłumienie wszystkiego, cokolwiek się w Kongresówce przeciw rządowi robi.

Ostatnimi czasy liczba procesów politycznych niesłychanie wzrosła. Osób, pozostających pod śledztwem w dziesiątym pawilonie cytadeli warszawskiej, ciągle jest pełno, a należy dodać, że ma się tu do czynienia nietylko ze wzrostem liczebnym, ale i z jakościowym. Pomnożyła się ogromnie liczba *gatunków* przestępstw.

Po krótkiej ciszy, która zapanowała po powstaniu, pierwszymi przestępcami politycznymi byli socyaliści. Kierownicy śledztw stracili sporo czasu, zanim zdołali się zoryentować trochę co do ducha spraw, co do celów »występnej« działalności. Na podstawie tego, co poznali i co zrozumieli, poczęli sobie wytwarzać już pewien system, gdy zjawiły się nowe sprawy — patryotyczne. Poczęli tedy rozróżniać »*dieła socjalnyja*« i »*narodowyja*«. Ta atoli klasyfikacya od samego niemal początku okazała się niewystarczającą. Nieraz okazywało się, że dana sprawa tyle ma kwalifikacyi zarówno w jednym, jak w drugim kierunku, iż nie wiadomo, w jakiej kategoryi ją postawić. Z drugiej znów strony takie oznaczanie spraw okazało się zbyt ogólnikowem: przekonano się, że jedni socyaliści prowadzą akcyę polityczną, inni się jej wyrzekają i sprowadzają działalność do organizowania strejków, kas oporu i t. d., pośród zaś spraw »narodowych«, jedne polegały na sprowadzaniu lub szerzeniu nielegalnych wydawnictw, inne — na organizowaniu manifestacyi przeciwrządowych, te — na tworzeniu tajnych związków, tamte znów — na zakładaniu czytelni ludowych i t. d., i t. d.

Wobec tej rozmaitości spraw i typów »przestępcy« stała żandarmerya, organizacya półwojskowa, a więc niedość giętka, przesiąknięta rutyną, niezdolna do szybkiego przyswajania sobie nowych pojęć i nowych metod działania. Dzięki sposobowi zasilania kadrów żandarmeryi, ściśle określonemu, i wojskowemu systemowi awansowania w służbie, śledztwa dostawały się w ręce umundurowanych manekinów, ani uzdolnionych dostatecznie, ani wykształconych, ani też nie znających należycie stosunków kraju, w którym kazano im działać. Ktokolwiek miał do czynienia z żandarmami, jako więzień dziesiątego pawilonu, wyniósł stamtąd przekonanie o ich niezmierzonej głupocie.

Naturalnym skutkiem takiej organizacyi śledztw musiało być wypuszczanie z rąk bardzo ważnych nici spraw, niepoznawanie się na prawdziwie niebezpiecznych dla rządu ludziach, rozdymanie drobiazgów prawie legalnych do rozmiarów spisku, surowe skazywanie osób najniewinniejszych, wreszcie skandaliczne błędy w rodzaju ostatniego aresztowania Piotra Chmielowskiego.

Nic dziwnego, iż wreszcie rząd się spostrzegł, że podobny stan rzeczy jest najniekorzystniejszy dla niego samego, bo żandarmerya, jako niedość zdolna do działania w złożonych stosunkach naszego kraju, nie zabezpiecza należycie interesów rządu i, pomimo gorliwości, nieumiejętnie tępi jego wrogów. Naturalną jest całkiem rzeczą, iż pomyślano o stworzeniu organizacyi ruchliwej, którą można zaopatrzyć w siły lepiej uzdolnione. Niezawodnie, siły nowej instytucyi na razie rekrutować się będą z pośród żandarmów, nie skrępowana atoli przepisami o wojskowej organizacyi żandarmów, o awansach, będzie ona mogła sobie dobierać odpowiednich ludzi z urzędników wszelkich dykasteryi. Niebawem możemy ujrzeć na miejscu dzisiejszych podpułkowników i rotmistrzów żandarmeryi — jakiegoś excenzora, inspektora szkolnego i t. p., którzy śledztwa będą prowadzili niewątpliwie o wiele lepiej od dotychczasowych inkwirentów...

Motywy tedy reformy, która obecnie będzie wprowadzona w życie, są jasne. Okręg żandarmski okazał się instytucyą zamało giętką, niedość zasobną w siły umysłowe do radzenia sobie z rosnącym z dnia na dzień obfitym i różnorodnym materyałem procesów politycznych na naszym gruncie. Obok tego, trzeba zwrócić uwagę na fakt, iż żandarmi, ze względu na kierunek swego wykształcenia zawodowego, nie mają dostatecznego przygotowania do tego, żeby rozumieć należycie zadania władz rosyjskich na gruncie polskim. Ktokolwiek miał z nimi bezpośrednio do czynienia, musiał stwierdzić, że mają oni jakby inną budowę mózgu od reszty urzędników rosyjskich w Polsce: gdy ostatni wysuwają na plan pierwszy potrzebę walczenia z duchem polskim, z polską cywilizacyą, ze wszystkiem, co ma na celu zachowanie umysłowej i moralnej odrębności naszego kraju od Rosyi, żandarm przeważnie wrażliwy jest tylko na sprawy »porządku«, na to, co zagraża bezpieczeństwu państwa; gdy przeciętny urzędnik rosyjski w Polsce, nie wyjmując ogólnej policyi, jest *diejatielem*, pracującym na rzecz kultury rosyjskiej, przeciętny żandarm dla tych rzeczy zmysłu nie ma — jest to w całem znaczeniu tego słowa *stupajka*. Skutkiem tego żandarmi nie posiadają kwalifikacyi do należytego współdziałania z innymi organami władzy na polu ruszczenia kraju, mając zaś organizacyę odrębną, samoistną i złączoną z nią ogromną władzę, zabezpieczeni od wtrącania się innych organów w ich sprawy, często mogli przeszkadzać, mimowoli zresztą — działalności władz administracyjnych, wychowawczych i t. d. Temu zawdzięczają oni, że przy całym strachu, jakiego wobec nich i groźnej ich broni, rewizyi i aresztowań, przeciętny, spokojny obywatel doświadcza, ogół więcej na nich liczy, gdy chodzi o obronę przed gwałtem i nadużyciami, aniżeli na przedstawicieli jakiejkolwiek innej władzy. Można bez obawy paradoksu powiedzieć, iż w pewnem znaczeniu żandarmi mają największe ze wszystkich władz rosyjskich poczucie legalności.

Niewątpliwie tedy powierzenie spraw politycznych pomocnikowi generał-gubernatora ma na celu wprowadzenie do dziesiątego pawilonu tego ducha, jaki panuje we wszystkich instytucyach rządowych, osiągnięcie tego, ażeby procesy polityczne więcej współdziałały zabiciu wszystkiego, co polskie. Dotychczasowy okręg żandarmski działał na własną rękę, często wbrew widokom administracyi — kancelarya pomocnika generał-gubernatora do spraw policyjnych będzie podporządkowana ogólnemu systemowi i musi działać zgodnie z resztą władz.

Skutki tego będą nie najlepsze dla nas. W nowej instytucyi spotkamy groźnego wroga, który w krótkim czasie bardzo może nam się dać we znaki. Wszędzie, gdzie tylko administracya, ze swymi martwymi przepisami, nie będzie mogła dać sobie rady, zjawi się owa czarna kancelarya i uprzątnie zawadzającego władzom człowieka. Będzie to się może robiło z mniej strasznemi od żandarmskich dekoracyami, ale w skutkach niezawodnie okaże się fatalniejszem. Żandarmi byli straszni dla jednostek, burząc częstokroć szczęście osobiste ludzi i ich rodzin, dla sprawy atoli naszej groźni bardzo nie byli, i można z pewną słusznością powiedzieć, że jeden podły kierownik szkoły więcej ogółowi polskiemu szkody wyrządza, niż cały okręg żandarmski; nowa zaś instytucya stanie się prawdziwie groźną dla naszych interesów zbiorowych.

Zresztą, mówiąc szczerze, dla nas jest korzystną względnie rzeczą rywalizacya władz na naszym gruncie. To, że żandarmi współzawodniczyli częstokroć z policyą ogólną, że ich naczelnik, Brock, nie był w najlepszych stosunkach z zamkiem, odbierało czasami systemowi konsekwencyę i pewność, i osłabiało wymierzone przeciw nam ciosy. Ludzie tłómaczyli to często fałszywie. Niedawne są jeszcze czasy, kiedy pewne sfery usiłowały wystawić Brocka, jako przyjaciela Polaków, dlatego tylko, że miewał zatargi z Hurką. Z tego powodu nawet ktoś dowcipny powiedział, że gdyby obecnie była elekcya na tron polski, to Brock by miał pewne szanse. Dziś wprawdzie te same sfery, mówiąc o zatargach między Brockiem i Szuwałowem, ostatniego uznają za naszego przyjaciela, a pierwszemu przeznaczają rolę wroga, ale to tylko świadczy, jak niesumienne są te wszystkie brednie o życzliwości dla nas tych, którzy tu są po to, żeby nas tępić.

Otóż dziś rywalizacya władz, o której mowa, przestanie istnieć, a jej miejsce zajmie podporządkowanie. Nie wiem, czy się znajdzie kto, co uzna tę nowość dla nas za korzystną — chyba panowie »ugodowcy«, którym nowa kancelarya będzie umiejętniej sprzątała z oczu przeciwników.

Tyle na dziś o reformie — zresztą czekajmy, aż wejdzie w życie i da się bliżej poznać przez pracę nad zbliżeniem »zachodnich kresów« do Rosyi.

Praca to ciężka i nie idzie tak prędko, jak sobie życzą ci, co się jej oddają. Stąd żale sfer urzędowych na naszą niechęć do dobroczyńców. Oddawna już np prasa rządowa narzeka na zachowanie się naszego dziennikarstwa wobec Rosyi. *Warsz. Dniewnik* kilkakrotnie już wykazywał, że pisma warszawskie o wszystkjem chętnie piszą, jeno nie o sprawach rosyjskich. Skargi te są o tyle uzasadnione, że istotnie prasa warszawska mniej pisze o Rosyi, niżby pisała, gdyby miała pewną swobodę w wyborze i ocenie faktów, ale wina tu spada nie na prasę, jeno na rząd, na jego cenzurę, która utrudnia nam poznanie Rosyi tak, jakbyśmy chcieli ją poznać. Zresztą, gdyby *Warsz. Dniewnik* miał poczucie słuszności, przyznałby, że nie wszystkie pisma zasługują na naganę z jego strony.

Wstąpiwszy któregoś dnia do cukierni, wziąłem do ręki numer *Gazety warszawskiej*. Na samym wstępie, na pierwszem miejscu znajduję rubrykę wielkości szpalty p. t. »Wiadomości z Petersburga« — czytam w niej o rozkazie do gwardyi, o wystawie niżegorodzkiej, o deszczach w Kazaniu, o przyjeździe śpiewaków serbskich do Petersburga i t. p. Na drugiej kolumnie znów duży artykuł »Z prasy *ruskiej*« — o wyprawie rosyjskiego Czerwonego krzyża do Abisynii, według *Warsz. Dniewnika*. Dalej rubryka »Wiadomości z cesarstwa« — o nowych torpedowcach, o uwolnieniu od opłaty jarmarcznej przybywających na wystawę do N. Nowgorodu, o nauce rzemiosł w szkołach elementarnych Petersburga. Potem znów artykuł »Nowa pożyczka« — o pożyczce państwowej i zapasach złota w skarbie rosyjskim, przedstawiający w różowem świetle finanse Rosyi. Po niedużej rubryce »Informacyi«, gdzie się mówi »o nagrodach z łask koronacyjnych za dozór nad

opłatami« i t. d., i po wiadomościach o »zmianach w służbie« następuje na trzeciej kolumnie spory artykuł p. t. »Wzrost balonu *Nowogieorgiewsk«* — o próbach aeronautycznych w twierdzy modlińskiej, według *Warsz. Dniewnika.* Wreszcie na piątej szpalcie p. t. »Kronika sportowa« świeci duża korespondencya z Petersburga o wyścigach tamtejszych.

Jak na jeden numer pisma, to chyba dosyć?... A trzeba wiedzieć, że inne numery tegoż pisma nie różnią się od opisanego.

P. Timanowskij nie powinien się skarzyć. Przecież, gdybyśmy taki numer *Gazety warszawskiej* przetłómaczyli na język rosyjski, mielibyśmy wykapany *Warszawskij Dniewnik*

***

Dąbrowa górnicza, w lipcu.

Probostwo w Dąbrowie. Ucieczka ks. Dudkiewicza. Agitacya z ambony i jej źródła. Nowy proboszcz. Jego przeszłość. Ciekawe kazania. Manifest koronacyjny i bezpieczeństwo publiczne w Dąbrowie. Nadużycie żandarmeryi sosnowieckiej.

Stanowisko proboszcza w Dąbrowie to z jednej strony intratna synekura, dająca z wszelką pewnością około 8.000 rubli rocznego dochodu, z drugiej zaś posterunek bardzo ważny i trudny, wymagający od jednostki, która go zajmuje, nielada przymiotów, aby swym obowiązkom należycie odpowiedzieć mogła. Gdzie tyle żywiołów ciągłą walkę z sobą toczy, gdzie tyle sprzecznych wymagań do kościoła się zwraca, gdzie poziom religijności ogromne, raptowne przedstawia nierówności, trzeba rzeczywiście posiadać dużo inteligencyi i taktu, prawości charakteru i energii, ażeby sprzeczne interesy ubogiego ogółu, potężnych kapitalistów i najezdniczego rządu w ten sposób zadowolnić, aby, jak to mówią, »i wilk był syty i owca cała«. Jak dotychczas jednak Dąbrowa nie miała szczęścia podobnego duchownego posiadać. Ci, którzy byli dotychczas, wszystkie usiłowania swoje wytężali jedynie w tym kierunku, żeby z licznej i bogatej parafii jak najwięcej wycisnąć, jej zaś potrzeby i interesy bynajmniej na sercu im nie leżały. Przypuszczam, że przyczyną tego smutnego faktu nie jest zupełny brak odpowiednich jednostek wśród duchowieństwa, lecz wielka waga, jaką stanowisku proboszcza w Dąbrowie rząd rosyjski przypisuje, z innego, naturalnie, punktu widzenia. Stąd trudność wyboru kandydata, ci bowiem, którzyby według zdania i życzenia ogółu stanowisko to zająć mogli, nie odpowiadają wymaganiom rządowym. Dotychczas sprawę załatwiano w ten sposób, że na proboszcza do Dąbrowy naznaczano zwykle jednostkę bierną, mającą jedynie owe 8.000 rocznego dochodu na względzie. Po historycznem jednak opuszczeniu parafii przez ks. Dudkiewicza w kwietniu b. r., rząd wywarł silniejszą presyę na biskupa kieleckiego, i tym razem, pomimo silnego oporu, naznaczono do Dąbrowy kreaturę nie bezbarwną, ale zupełnie »rządową«. Kreaturą tą jest ks. Sikorski, proboszcz z Niegowej, gub. Piotrkowskiej, dyecezyi kieleckiej.

Skoro już nadmieniłem o historycznem opuszczeniu Dąbrowy przez poprzedniego proboszcza, nim przystąpię do opisu działalności obecnego, pozwolę sobie rzecz tę opowiedzieć, jest to bowiem ciekawa ilustracya naszych stosunków.

Podczas przeszło czteroletniego pobytu w Dąbrowie ks. Dudkiewicza rząd nie miał najmniejszego powodu obawiać się o jego działalność, postępowanie bowiem ks. Dudkiewicza niczem aspiracyj antyrządowych nie zdradzało. Życie niemoralne i kilkakrotne nagany od biskupa, popieranie interesów wielkiego kapitału przez zachęcanie robotników do bezwzględnego posłuszeństwa, chociażby sprzecznego z obrzędami kościoła katolickiego, przyjmowanie u siebie żandarmów i pijatyka z nimi — wszystko to utwierdzało władze policyjno-administracyjne w przekonaniu, że ks. Dudkiewiczowi ufać można. Kogoż jednak nie spotykają przykre niespodzianki. Na parę tygodni przed świętami wielkanocnemi robotnicy stalowni »Huty Bankowej« oświadczają gromadnie zarządowi, że, jako katolicy, chcą w niedziele powstrzymać się od pracy, że ksiądz się na nich gniewa i rozgrzeszenia za to nie daje, że na nabożeństwo nie chodzą. Trzeba zdarzenia, że właśnie w tym czasie przyjechał do Dąbrowy gubernator piotrkowski Miller na jakieś śledztwo do gminy. Do niego przeto wystąpił dyrektor Huty Bankowej, Hartingh, ze skargą, że szkodliwy wpływ ks. Dudkiewicz na robotników wywiera. Gubernator, do którego robotnicy także gremialnie się udali z prośbą, aby polecił zarządowi »Huty« świętować w wydziałach, w których robota przerwaną być może, jak zwykle, odesłał ich z niczem, zawezwał natomiast księdza i tak mu radykalnie przekonania zmienił, że na najbliższem kazaniu formalnie wyparł się swych nauk poprzednich i najuroczyściej prosił i zalecał, aby w niedziele nie chodzono do kościoła, lecz do »Huty«. Było jednak zapóźno! W palmową niedzielę zawiesili robotę pracownicy stalowni, a w obydwa święta wielkanocne wszyscy robotnicy »Huty Bankowej«. Zawezwani telegraficznie przez zarząd »Huty« zjawili się »kozaczkowie«, nie mieli jednak pola do popisu, gdyż robotnicy zachowywali się zupełnie poważnie, a w trzeci dzień świąt poszli do roboty. Ofiarą padło 80-ciu najemników dziennych, nic nie winnych, których »dla przykładu« wydalono.

W kilka dni po wyżej opisanych wypadkach zniknął z horyzontu Dąbrowskiego ks. Dudkiewicz (wyjechał do Galicyi), a ci, co nie znali pobudek, dla których na tego rodzaju agitacyę wśród robotników się odważył, poczęli go uważać za bohatera-męczennika. Nam jednak pobudki te dobrze były znane: była to osobista zemsta, wymierzona przeciw temu Hartinghowi, dyrektorowi »Huty Bankowej«, który będąc jednocześnie członkiem tutejszego »dozoru kościelnego«, zainicyował i przeprowadził odjęcie księdzu 750 rb. rocznego dochodu, wypłacanego mu z funduszów kasy bratniej pomocy robotników »Huty Bankowej« na utrzymanie koni. To było faktyczną przyczyną agitacyi, gdyż eks-proboszcz na grosz był bardzo czuły. Jakkolwiekbądź w oczach rządu ks. Dudkiewicz wyrósł na niebezpiecznego agitatora, całe zaś zajście spożytkowano w ten sposób, że wywarto na biskupa Kulińskiego silną presyę i do Dąbrowy naznaczono ks. Sikorskiego.

Całej dotychczasowej »kapłańskiej działalności ks. Sikorskiego nie znamy, samo bowiem duchowieństwo tego rodzaju wyrodków płaszczykiem dyskrecyi okrywa, posiadamy jednak kilka faktów, które dostatecznie mogą określić postać ks. Sikorskiego. Znana jest np. wszystkim historya jego orderu...

Po śmierci cesarza Aleksandra III., gdy Hurko polecił przysięgę czytać w kościołach po rosyjsku, ksiądz Sikorski denuncyował okolicznych księży, którzy przysięgę odbierali po polsku. Wskutek tego u kilku robiono rewizyę.

Kilkakrotnie skazywany przez biskupa na więzienie w Pińczowie, ksiądz Sikorski w całej dyecezyi uważany był za człowieka upadłego moralnie tak nizko, że nic z upadku podnieść go nie zdoła. Wskutek tego wysyłano go zwykle do parafii najmniejszych, żeby szkodliwy wpływ jego ograniczyć do *minimum.* Wtedy to ks Sikorski zmienił taktykę i wkrótce, promowany przez władze rządowe, zaczął awansować. Jaki jest jego stosunek do rządu rosyjskiego, trudno określić, to jednak nie ulega wątpliwości, że nie on żandarmów i miejscowych władz administracyjnych się obawia, lecz oni — jego.

W Dąbrowie ks. Sikorski jest od 2-óch miesięcy z górą, przez ten czas badał widocznie grunt i warunki, gdyż dopiero w niedzielę dnia 5 lipca wystąpił z kazaniem, które za »programowe« uważać należy. Przemawiając do licznie zebranego ludu na temat posłuszeństwa, jakie się rządowi należy, gdyż wszelka władza od Boga pochodzi, radził nie słuchać tych, coby do jakichkolwiek czynów, przeciwnych rozporządzeniom cesarza, namawiali, gdyż ktoby się tej władzy świeckiej sprzeciwiał, grzeszyłby jednocześnie nieposłuszeństwem przeciw kościołowi. Pomiędzy innemi powiedział, »polskość i patryotyzm — to najwięksi wrogowie kościoła« (dosłownie), a »kto jest dobrym katolikiem i Boga prawdziwie miłuje, dla tego wszystko jedno, czy się będzie modlił po polsku, czy w innym języku«.

Oburzenie wśród oświeceńszej części robotników i wśród inteligencyi jest ogromne, zapewne jednak nie wyjdzie po za sferę »bierności«. Oburzać się zaś — to mało, należy oburzenie to uzewnętrznić i przeciwdziałać złemu, póki nie objęło jeszcze szerszego ogółu!

Jednym z przywilejów, nadanych Dąbrowie przez carski rząd, są tak zwani »pobytowcy«. Przez »pobytowca« rozumieć trzeba wypuszczonego z więzienia przestępcę kryminalnego, któremu wyznaczają miejsce pobytu. Otóż Dąbrowa należy do takich uprzywilejowanych miejscowości, i od czasu do czasu bywa nawiedzana przez transport pobytowców. Z chwilą przybycia takich panów mieszkańcy podwajają czujność i fortyfikują swe mieszkania, niewiele to jednak pomaga, gdyż »pobytowcy« operują bandami, łamią kraty w oknach, wyważają okiennice, w razie potrzeby używają rewolwerów i nożów. Rzecz bardzo naturalna. Taki transporcik »pobytowców«, składający się niekiedy z 80-100 ludzi, zostaje niby pod dozorem straży ziemskiej; ilość jednak tej straży nie odpowiada nigdy warunkom miejscowym, tymbardziej więc odpowiedzieć nie może — w razach wyjątkowych. Przytem rząd, przysyłając »pobytowców«, nie troszczy się bynajmniej o wyszukanie dla nich pracy, a zarządy fabryk i kopalni przyjmować ich nie chcą. Cóż więc ludziom tym pozostaje? Rozbój i kradzież! Tak też czynią, dopóki znów nie dostaną się do więzień. Obecnie mieszkańcy Dąbrowy więcej niż kiedykolwiek odczuwają gościnę »pobytowców«, dzięki »świętej« koronacyi. Jest to jedyny dowód carskiej łaski.

Oburzającego nadużycia pozwolił sobie kapitan żandarmów w Sosnowcu na osobie pani W., żony urzędnika z gminy w Dąbrowie. Jadącą w celach kuracyjnych do Katowic, za własnym, zupełnie legalnym półpaskiem, wyrzucono forsownie za ramię z wagonu i wsadzono do pokoju żandarmów, gdzie kilku drabów obchodziło się z nią, jak z kobietą złego prowadzenia. W wysokim stopniu chorą i pogrążoną w rozpaczy oswobodził po kilku godzinach zawiadomiony mąż, którego nawet nie uznano za potrzebne przeprosić, lecz zwymyślano w języku »urzędowym«.

Nazwisko kapitana — Volkmuth. Skrzywdzony pan W. ma zamiar podać skargę na ręce Brocka, wątpić atoli można czy uzyska jakie zadośćuczynienie. *(O — ż)*

= *Przeniesienie Klingenberga.* Wszystkie dzienniki galicyjskie wiadomość o zamianowaniu znanego Klingenberga gubernatorem wiackim uważają za karę i odpowiednio komentują, zdradzając przedewszystkiem nieznajomość geografii Rosyi. O Wiatce, zdaje się, sądzą według słów piosenki: »Pójdziem wszyscy do Kamczatki, do Sybiru i do Wiatki«. *Głos Narodu* umieścił ją za Wołogdą i za Orenburgiem (?) i zaludnił Wotiakami, Czeremisami, Tatarami i Baszkirami. Do Orenburga nie wiele bliżej z Wiatki, jak do Warszawy, w południowej i wschodniej części gubernii mieszkają wprawdzie Czeremisy, Tatarzy i Wotiacy, znalazłoby się nawet kilka tysięcy Baszkirów, tyleż Teptiarów i trochę Permiaków, ale wszystkie te plemiona razem nie stanowią nawet trzeciej części ludności. Żywioł rosyjski jest tam panującym, a kraj, z wyjątkiem wschodnich i północnych zakątków, względnie do innych miejscowości Rosyi wschodniej dosyć ucywilizowany. Gubernia wiacka jest jedną z większych (2800 mil. kwadr.) i liczy z górą 3 miliony ludności. Ziemstwo wiackie należało i bodaj dziś należy do najbardziej postępowych w Rosyi i sporo zrobiło dla rozwoju szkół, pomocy lekarskiej i rolnictwa. Przeniesienia Klingenberga do tej gubernii, zwłaszcza po świeżem obdarowaniu go orderem, nie można uważać za karę. Stanowisko gubernatora w Wiatce jest bardziej niezależnem niż w Kownie, gdyż jedynym jego zwierzchnikiem będzie minister spraw wewnętrznych, w Kownie zaś był podwładnym generał-gubernatora. W ogóle posady gubernatorów w t. zw. guberniach ziemskich, wymagające większej samodzielności i doświadczenia, uważane są zwykle za wyższe. Droga żelazna, którą teraz budują do Wiatki, skróci odległość od Moskwy i Petersburga, a klimat, jakkolwiek dosyć surowy, nie jest tak przykrym, jak się we Lwowie lub w Krakowie wydaje.

Dodać trzeba, że następcą Klingenberga został gubernator wołyński Suchodolskij, znany wróg Polaków, który wyjednał dla rządzonej przez siebie gubernii specyalne prawa wyjątkowe. Klingenberg był dzikim i głupim okrutnikiem, wykonawcą posłusznym rozkazów wyższej władzy. Suchodolskij jest *obrusitielem* z przekonania, zawziętym i przebiegłym. Dziwna to kara, która daje ukaranemu lepsze stanowisko, a ludności gorszego bodaj i niebezpieczniejszego ciemiężcę, niż był jego poprzednik.

Z ZABORU PRUSKIEGO.

Poznań, 26 lipca.

Towarzystwo obrony prawnej. Na czem polega działalność hakatystów. Sprzedaże majątków. Kształcenie dziewcząt polskich. Wizyta cesarska w Miłosławiu.

Dzienniki nasze zajmują się sprawą zorganizowania obrony prawnej ludu. Jedne radzą zawiązać »towarzystwo obrony prawnej«, drugie, jak *Orędownik*, niedowierzający wszelkim usiłowaniom zbiorowym, sądzą, że należy sprawę tę pozostawić inicyatywie prywatnej. Możnaby na to odpowiedzieć, że jednak instytucye obrony prawnej istnieją w społeczeństwach, w których inicyatywa osobista lepiej jest niż w naszem rozwiniętą i gdzie potrzeby takiej pilnej niema. Naturalnie, towarzystwo obrony prawnej powinno mieć ściśle oznaczony zakres działania, poprzestać, zdaniem naszem, wyłącznie na pośrednictwie w sprawach politycznych i administracyjnych, oraz wynikających z ustawodawstwa robotniczego. W tym zakresie może ono działać skutecznie, wszakże powinno nietylko dawać poradę tym, którzy jej żądają, ale nawet w niektórych wypadkach zachęcać do wystąpienia ludzi, pokrzywdzonych w prawach obywatelskich. Istniała już u nas zorganizowana »Obrona prawna«, założona przez p. Graevego, ale instytucya ta nie mogła się utrzymać. Nie znaczy to jednak, żeby w nowej, poprawnej formie nie znalazła warunków bytu. P. Thiel, który w *Kuryerze poznańskim* poruszył myśl jej wznowienia, ma na widoku cele zbyt szerokie. Ochrona praw cywilnych ludności nie może być zadaniem stowarzyszenia i słusznie twierdzi *Orędownik*, że w takim wypadku biura prywatne byłyby właściwsze.

Nieznajomość praw politycznych i administracyjnych naraża nas ne klęski w walce, którą prowadzić musimy. Stosunki tak się ułożyły, że o prawa obywatelskie upomi-

nać się musimy nie w parlamencie, lecz przed kratkami sądów. Towarzystwom i osobom prywatnym władze wciąż wytaczają procesy z powodów błahych, mnożą się denuncyacye i fałszywe oskarżenia, odczuwamy coraz dotkliwiej dowolność urzędników, którzy lekceważą sobie przepisy. Od czasu kiedy hakatyści rozwinęli swoją działalność, stan rzeczy, przedtem już nieznośny, pogorszył się jeszcze. Ludność niezamożna znosi bez oporu nadużycia, bo bronić się nie umie, bo często nie wie, że bronić się może.

Towarzystwo obrony prawnej zorganizowane porządnie i szeroko rozgałęzione byłyby instytucyą bardzo pożyteczną pod względem politycznym. Dzieje walki o swobody obywatelskie w Anglii wskazują, jak ważne znaczenie ma w tej sprawie wytrwałe dochodzenie praw swoich przed sądem.

Ma się rozumieć, działalność jednej instytucyi, chociażby najpomyślniej się rozwijającej, nie byłaby wystarczającą. Koniecznem jest, jak słusznie zaznacza *Dziennik poznański*, urządzanie odpowiednich wykładów w towarzystwach polskich ludowych, przedewszystkiem zaś wydanie taniego a popularnego podręcznika prawnego. Redakcya ustaw niemieckich jest bardzo zawiłą, a tłomaczenia polskie, podawane w pismach, wołają o pomstę do nieba. Człowiek wykształcony i prawnik z zawodu nieraz zrozumieć ich nie może i musi niektóre zdania przekładać sobie w myśli na język niemiecki, zaś czytelnik niewykształcony po przeczytaniu takiego tłomaczenia najogólniejszej nawet treści ustawy nie uchwyci. Pisma ludowe powinny więc nowe i dawne ustawy w artykułach popularnych wyjaśniać i podawać wiadomości prawne, mogące pouczyć czytelników.

Działalność hakatystów uwidacznia się coraz częściej w donosicielstwie. Są miejscowości, jak np. Żerków, które stały się głośnemi z denuncyacyi, zazwyczaj fałszywych. Patryoci niemieccy nie poprzestają na wietrzeniu zamachów na całość i bezpieczeństwo państwa, ale wywlekają nawet sprawy prywatne w celu skompromitowania Polaków lub zaszkodzenia im. Niedawno hakatyści żerkowscy oskarżyli p. Czarneckiego, że pobiciem spowodował śmierć swego służącego. Śledztwo wykryło, że oskarżenie było wierutnem kłamstwem, pozbawionem wszelkiej podstawy.

Solą w oku są dla hakatystów ci księża, którzy nie chcą współdziałać z rządem w sprawie germanizacyi. Pisaliśmy o sprawie ks. Szadzińskiego, którego zadenuncyował nauczyciel, obecnie dzienniki niemieckie wymyślają na ks. Bartscha. Niejaki Gronostaj, z dziada pradziada chłop polski, napisał do ks. Bartscha list po niemiecku z prośbą o metrykę córki. Okazało się później, że ów Gronostaj, który, chociaż skończył szkołę, ani po polsku, ani po niemiecku pisać nie umie, prosił o napisanie listu jakiegoś Niemca. Ksiądz metryki nie wydał, bo Gronostajówna nie była zapisana w parafii, ojcu zaś jej odpisał mniej więcej w ten sposób: »Po cóż się błaźnisz, człowieku, kiedy po niemiecku pisać nie umiesz. Niemczyzna twoja tak jest licha, że nie mogłem zrozumieć dobrze, o co ci chodzi. Kiedy jesteś Polakiem, powinieneś pisać po polsku«.

Hakatystów najbardziej oburzyła ta okoliczność, że ks. Bartsch ma nazwisko niemieckie. Wyszperali, że rodzice jego byli Niemcami, że on sam dopiero w czasie »kulturkampfu« po polsku się wyuczył, a jednak w liście do Gronostaja nazywa sam siebie Polakiem. Ks. Szadziński pochodzi podobno również z rodziny niemieckiej i właściwe jego nazwisko było Schade. Ks. Bartscha chcą hakatyści oskarżyć o »zakłócenie spokoju publicznego«.

Jakkolwiek dzienniki wyjaśniły, że barwy czerwona i biała są w Poznańskiem barwami prowincyonalnemi i przytoczyły nawet odnośny reskrypt królewski, władze pruskie wciąż skazują obywateli na kary pieniężne za wywieszanie chorągiewek z temi barwami. Podczas zjazdu śpiewaków w Koźminie obywatel p. Płończyński wywiesił na swym domu chorągiew czerwono-białą i zapłacić za to musiał 30 marek grzywny. Policya w takich wypadkach twierdzi, że barwy są wprawdzie dozwolone, ale chorągiewki »zakłócają porządek publiczny«. *Gazeta ostrowska* donosi, że w tymże Koźminie skazany został na 150 marek kary lub 6 tygodni aresztu p. W. Piechocki, który podczas zjazdu śpiewaków wystawił w oknie tablicę z napisem: »Jeszcze Polska nie zginęła«.

W ostatnich czasach sprzedano komisyi kolonizacyjnej majątki polskie Czeluścin i Sośnicę. Właściciele, p. Morawski i Chełkowski są ludźmi względnie zamożnymi, ostatniemu radzono, żeby rozparcelował majątek między chłopów polskich, ale on odpowiedział, że mu się ten kłopot nie opłaci. Po mieście krążą pogłoski, że hr. Mielżyński zamierza sprzedać komisyi dobra, mające około 6000 morgów obszaru.

Fakty tego rodzaju nie budzą już w nas oburzenia, tyle ich było, że mogliśmy przyzwyczaić się do tej detalicznej sprzedaży ojczyzny. Nawet *Goniec*, który najsilniej sprzedawczyków piętnował, przyznaje już im czasem okoliczności łagodzące. Zdaniem naszem pobłażliwość jest tu równie niewłaściwą, jak oburzanie się na szlachtę, że ziemię sprzedaje. Ta warstwa społeczna bankrutuje materyalnie i moralnie i nic jej od upadku nie powstrzyma. Trzeba się z tym faktem liczyć, zapobiegać skutkom jego, o ile to jest w naszej mocy, ratować ziemię, a ludzi pozostawić ich losowi, bo to są już *morituri*, kto wie, czy zdolni nawet do odrodzenia się w innej roli społecznej.

W artykule p. t. »Niepoprawni« opowiada *Goniec*, że obywatele ziemscy z Księstwa i Prus Zachodnich niechętnie oddają córki do zakładów naukowych polskich, istniejących w Poznaniu i, jeśli tylko mogą, umieszczają je u Urszulanek we Wrocławiu, gdzie dziewczęta uczą się wyłącznie po niemiecku. Zakład Urszulanek wyraźnie w drukowanych programach głosi, że celem jego jest wychowywanie *zu deutschen Jungfrauen*. Lekcyi języka polskiego nie ma tam wcale, bo ten »dziewicom niemieckim« nie potrzebny. Autor artykułu twierdzi, że panienki polskie, u zakonnic wrocławskich kształcone, odróżniają się rubasznością w obejściu, usposobieniem romansowem i takiem zamiłowaniem zabaw, że »niektóre z nich, i to z t. zw. dobrych domów nie wahają się bawić w karczmach (?) swoich i tamże tańczyć do upadłego«. No, ale za to mówią wybornie po niemiecku, a znajomość tego języka, którą przed trzydziestu laty nikt się nie popisywał, bo to uchodziło za oznakę złego tonu, dziś jest modną.

Chłopcy muszą się uczyć w szkołach publicznych niemieckich, dziewczęta natomiast moglibyśmy i powinni uczyć w szkołach polskich, w duchu polskim prowadzonych, wówczas w życiu towarzyskiem wyrównywałyby się fatalne wpływy niemczyzny. Nieuzasadnione wielbienie kultury niemieckiej i wogóle mniemanej wyższości niemczyzny jest dla naszej odporności narodowej wielkiem niebezpieczeństwem. Wynarodowienie zaczyna się właściwie od drobiazgów obyczajowych i towarzyskich, od naśladownictwa, które jest po prostu uznaniem obcej wyższości. Dopóki Niemiec był dla nas »szołdrą«, śmiesznym i trywialnym »szwabem«, człowiekiem obyczajowo od nas niższym, jakim jest istotnie, zniemczenie było niemożliwem, przeciwnie, polszczyli się Niemcy, uważając poniekąd za zaszczyt należenie do naszej narodowości. Dziś Niemcy wmówili w siebie i w nas, że są narodem wyższym i my ich pod każdym względem zaczęliśmy naśladować. Nietylko chłop śląski, ale i szlachcic lub mieszczanin wielkopolski w postępowaniu swem mimowoli zdradzają przekonanie, że »fajniej« jest po niemiecku, niż po polsku. Obyczajowo stajemy się powoli Niemcami, co widocznem jest np. w zachowaniu się rubasznem, które razi nie-

raz braci naszych z innych dzielnic, w zaniku polskiej dworności i ogłady towarzyskiej. Nie jest to następstwem demokratyzacyi społeczeństwa, jak sądzą niektórzy, ale następstwem wpływu niemczyzny, bo występuje głównie w tych warstwach, które nie zdemokratyzowały się bynajmniej.

Politycy i plotkarze miejscy zajmują się gorliwie kwestyą, czy cesarz przyjedzie na polowanie do p. Kościelskiego w Miłosławiu? Dzienniki niemieckie twierdzą, że wizyta cesarska jest niemożliwą, bo w Miłosławiu w r. 1848 bili się Polacy z Niemcami, a zamek miłosławski przez długie lata był ogniskiem propagandy patryotycznej. Na to złośliwie odpowiada *Germania*, że cesarz mieszka przecie w zamku berlińskim, w którym jego stryjecznego i rodzonego dziadka spotkała w r. 1848 przykra przygoda, stokroć przykrzejsza dla majestatu monarszego, aniżeli bitwa pod Miłosławiem.

J. M.

P. S. Telegramy doniosły, że arcybiskup Stablewski nałożył na ks. Bartscha karę kanoniczną i kazał mu zawiadomić o tem *Posener Tageblatt (Przyp. red.).*

= *Wybory w Świeckiem.* Zaznaczyliśmy już w poprzednim numerze, że przy wyborach ściślejszych kandydat niemiecki Holtz zwyciężył. Miał on 187 głosów więcej, otrzymał bowiem 5328, kiedy Jaworski tylko 5141. Niespodziewane zwycięztwo zawdzięczają Niemcy jedynie nadużyciom. Urzędy wielu wyborcom polskim odmawiały poświadczenia, innych nie chciały przemeldowywać. Niewątpliwie wybór Holtza będzie znowu unieważniony, skoro zbierze się parlament w listopadzie. Najpoważniejsze dzienniki niemieckie, nawet nieprzychylne Polakom, jak *Vossische Zeitung* lub *Post.* twierdzą, że wybory muszą być unieważnione, ponieważ odbywały się nieprawnie, na podstawie starych list, wzywają więc p. Holtza, żeby dobrowolnie mandat złożył. *I. Geselliger* grudziądzki o unieważnieniu nie wątpi, nie radzi jednak składać mandatu, bo teraz Niemcy znużeni są wyborami i nadeszła pora żniw, zresztą zanimby nowe listy sformowano i na ich podstawie rozpisano wybory, pewna część Polaków wróciłaby zdążyła z robót letnich.

Jeżeliby wybór Holtza w listopadzie unieważniono, odbyłyby się nowe wybory w styczniu lub w lutym, t. j. w porze dla Polaków najkorzystniejszej. Ale i w każdej innej porze, w warunkach normalnych, nasz kandydat w Świeckiem przejść powinien. Pisma miejscowe z wielkiemi pochwałami mówią o gorliwości wyborców. Takiego zapału, jak teraz, nigdy dotychczas nie było. Do Lipienek Nowskich przybyło 35 ludzi aż z ziemi chełmińskiej, a jechali rozstawnemi końmi, żeby zdążyć na głosowanie. Byli i tacy, którzy z Westfalii lub Pomorza na wybory pospieszyli. Niemcy też wytężyli wszystkie siły. Właściciele niemieccy zmuszali służbę polską do głosowania na Holtza. Zięć jego, p. Quiddenbaum robotnikom swoim rozdał zamiast kartek ogromne półarkusze, żeby mógł ich przy głosowaniu kontrolować. Tym ze swojej służby, którzy na Jaworskiego głosowali, natychmiast wypowiedział miejsce. Wydalonych z powodu głosowania zbierze się sporo i pisma miejscowe wzywają ich, żeby fakty podobne do wiadomości publicznej podawali, a robota dla nich się znajdzie.

Sprawa wyborów w świeckiem jest ciekawą z punktu prawnego. Właściwie pierwszy wybór p. J. Jaworskiego był ważny, bo odrzucenie 8 kartek dlatego, że zamiast »von Sass Jaworski«, napisano na nich »Sass von Jaworski«, było krzyczącem nadużyciem. Niektórzy twierdzą, że parlament mógłby i powinien, unieważniwszy wybór Holtza, uznać wybór Jaworskiego.

Dodanie do nazwiska miana herbowego »Sas« było pomysłem niefortunnym. Można powiedzieć, że p. Jaworski stracił pewny mandat przez próżność szlachecką, bo gdyby nie bałamuctwo z tym »Sassem«, miałby odrazu kilka głosów więcej. Ludzie nie wiedzieli, co ten Sas czy Sass (?) znaczy. I teraz unieważniono kilka karteczek z powodu, że w wyrazie Sass drugie s nie było krótkie lecz długie!

O rozdrażnieniu, wywołanem agitacyą wyborczą, świadczy fakt, podany w *Gazecie gdańskiej.* Na p. Domaradzkiego Polaka, wracającego w dniu wyborów z Bukowca do domu, napadło na drodze kilku Niemców, którzy zaczęli bić go kijami. Napadnięty, widząc, że życiu jego grozi niebezpieczeństwo, strzelił dwukrotnie z rewolweru i jednego Niemca zranił lekko, a drugiego dosyć ciężko.

= *Gimnazya i szkoły realne w Prusiech Zachodnich.* Na 1,500.000 ludności Prus Zachodnich znajduje się w tej prowincyi 13 gimnazyów państwowych i 1 miejskie (4 katolickie, 2 symultanne, 8 protestanckich), 4 progimnazya symultanne, 5 gimnazyów realnych (2 państwowe, 3 miejskie) i 1 szkoła realna. Dosyć więc jest szkół średnich, ale ludność katolicka, jak wszędzie w Prusiech, jest i tu upośledzoną. Katolicy stanowią z górą 50% ludności, Polacy, według danych urzędowych około 35, właściwie 40%. Tymczasem mają tylko 4 gimnazya katolickie w Chełmnie, Chojnicach, Wałczu i Wejherowie, w których zresztą na 44 profesorów i nauczycieli wyższych jest już 14 protestantów, a jeden dyrektor-starokatolik. W dwóch gimnazyach symultannych — w Starogardzie i Brodnicy dyrektorami są protestanci, nauczycieli zaś wyższych jest 5 tylko katolików, 12 ewangelików. Również w progimnazyach symultannych — w Kościerzynie. Lubawie, Świeciu, Nowem Mieście, oraz w takiemże gimnazyum realnem w Chełmnie dyrektorami są ewangelicy; z profesorów 9 katolików, 18 ewangelików. Wszystkie te szkoły znajdują się w miejscowościach, mających przeważną ludność katolicko-polską.

Znacznie więcej jest szkół pretestanckich, w których nauczycieli katolików na palcach policzyć można. W Gdańsku nie ma ani jednej szkoły katolickiej, lub nawet symultannej, wszystkie — rządowe i miejskie — noszą charakter protestancki. W gimnazyum królewskiem jest 2 nauczycieli katolików na 18, w miejskiem 1 na 17 protestantów, w gimnazyum realnem miejskiem św. Piotra 1 na 10, a w gimnazyum realnem miejskiem św. Jana — ani jednego. Niema wcale nauczycieli katolików w gimnazyach królewskich (państwowych) w Elblągu, Kwidzynie i Toruniu, w gimnazyum realnem w Elblągu i w szkole realnej w Grudziądzu. W innych szkołach protestanckich, mianowicie w gimnazyach królewskich w Grudziądzu, Malborku i Frydlandzie i w miejskiem gimnazyum realnem w Tczewie jest 6 profesorów katolików i 23 protestantów. Polaków nauczycieli jest kilku zaledwie.

Protestancki charakter szkół średnich idzie w parze z ich dążeniami germanizacyjnemi. Naturalnie, język polski nawet takich skromnych praw tu nie ma, z jakich korzysta w niektórych szkołach średnich w Poznańskiem. Zdaje się, że tylko w jednej bibliotece gimnazyalnej w Chełmnie znajdują się książki polskie.

= *Germanizacya przez kościół w Prusiech Zachodnich.* Pisma podały prawie jednocześnie kilka faktów, świadczących o nowych zabiegach germanizatorów kościelnych. Z powodu tych faktów, które niżej przytoczymy, *Gazeta gdańska* zamieściła kilka uwag ogólnych o stosunkach zachodnio-pruskich, porównywując je ze śląskimi.

«Podczas gdy ta walka na Górnym Śląsku wrzała otwarcie, u nas w Prusiech Zachodnich pewne koła tylko

po cichu brały się do dzieła, tak że lud zaskoczony z nienacka, ani się nie spostrzegł, gdy tu i owdzie w kościele zaprowadzono niemieckie kazania. Słabe też dochodziły o tem echa do pism polskich, które w imieniu ludu w obronie praw tak świętych zawsze i wszędzie występowały, narażając się na liczne procesa i kary. Ciche te agitacye, mające zawsze germanizacyą na oku, niestety niejedno złe już zakorzeniły, lecz ponieważ w ostatnim czasie protesta przeciw takiemu nastawaniu na nasz język ze wszech stron coraz głośniej się powtarzać poczęły, przeto, jak się zdaje, postanowiono energiczniej wziąść się do dzieła i wytoczyć działa grubszego kalibru.

»I otóż sypią się rozporządzenia o zaprowadzeniu kazań niemieckich w parafiach czysto polskich, a to na podstawie, że parafianie w skutek obecnego systemu szkolnego dostatecznie umieją teraz po niemiecku, by mogli zrozumieć kazania niemieckie(!!!)«.

A oto fakty na poparcie tych uwag:

Ks. Trederowi, proboszczowi w Koronowie, zaproponowano pewną sumę, zdaje się od rządu, jeżeli zaprowadzi w swej parafii kazania niemieckie. Nie jest to fakt nadzwyczajny, bo jak wyjaśnia *Wielkopolanin*, uczniom gimnazyalnym, którzy zamierzają obrać stan duchowny, dają po 450 marek rocznie, aż do ukończenia nauk. w zamian za podpisanie zobowiązania, że zostawszy księżmi, będą zaprowadzali język niemiecki w kościele.

W parafii jeleńckiej proboszcz zakazuje czytać gazety polskie i przestrzega rodziców, żeby nie dawali dzieciom pism i książek polskich, bo te sieją zgorszenie. Oświadczył również, że nie będzie głosił kazań polskich, dla tego właśnie, że go o nie napastują. Niektórzy panowie, nazywający się Polakami, usprawiedliwiają księdza i dowodzą, że to wszystko jedno, czy kazania są polskie, czy niemieckie. Obywatel miejscowy, p. Prądzyński wyjaśnia w *Gazecie grudziądzkiej*, że dzieci do komunii już poprzedni proboszcz przygotowywał do spowiedzi po niemiecku ze względu na to, że po polsku czytać nie umieją i przy rozdawaniu pierwszej komunii po niemiecku od ołtarza przemawiał.

W Skurczu, parafii czysto-polskiej zaprowadzono kazania niemieckie na rozkaz, przysłany z Pelplina (rezydencya biskupa). W rozporządzeniu tem powiedziano, że za pomocą szkoły niemiecko-katolickiej parafianie dostatecznie już się zniemczyli i mogą z pożytkiem słuchać kazań niemieckich. Do owej szkoły chodzą tylko polskie dzieci, które dotychczas do sakramentów świętych po polsku przygotowywano. W Skurczu jest tylko 2 Niemców, którzy po polsku nie umieją — nauczycieli szkoły miejscowej. Dodać trzeba, że i propozycya zrobiona proboszczowi w Koronowie, wyszła również z Pelplina. Gdziekolwiek w parafii okaże się bodaj kilku Niemców wprowadzają dla nich kazania niemieckie, a tysiące Polaków w Gdańsku nie mogą wykołatać rozporządzenia, żeby dzieciom udzielano przygotowawczej nauki religii w języku polskim i muszą zbierać składki na wysyłanie ubogich dzieci do parafii polskich, żeby tam wyspowiadać się mogły.

Z GALICYI.

Lwów 30 lipca.

Solidarność Koła a prasa prowincyonalna. Objaw patologiczny. Jeszcze o szkołach dla analfabetów. Prezes Towarzystwa pedagogicznego w obronie ciemnoty ludu. Niemcy bialscy a inspektor Pelikan.

List otwarty hr. W. Dzieduszyckiego, o którym na innem miejscu piszemy, wysunął sprawę solidarności Koła polskiego w Wiedniu na pierwszy plan dyskusyi dziennikarskiej. Rozmaitych obozów organy omawiają ją z rozmaitych punktów widzenia, z szczególną wszakże powagą i znajomością rzeczy, która zaimponowaćby mogła niejednemu z dzienników stołecznych, roztrząsa tę kwestyę galicyjska prasa prowincyonalna, na ogół szczerze demokratyczna. Świadczy to bądź co bądź chlubnie o publicystycznem wyrobieniu się nielicznej dotąd braci dziennikarskiej na prowincyi. Wszystkie prawie pisemka stanowczo potępiają dotychczasową solidarność Koła, pojętą jednostronnie, a stosowaną w praktyce ze szkodą dla interesów narodowych. Różnice w poglądach zachodzą jedynie co do haseł, pod jakiemi najbliższe wybory do rady państwa odbyć się mają. Podczas gdy pewna część pism o zabarwieniu bardziej radykalnem, oświadcza się wprost za hasłem »Precz z solidarnością«, inne, uznając w zasadzie potrzebę solidarnego występowania wszystkich posłów polskich w sprawach ważniejszych, żądają ścisłego określenia i wyliczenia tych wyjątkowych spraw w zasadniczo zreformowanym statucie Koła.

Nie po raz pierwszy zdarza nam się sposobność stwierdzenia w prowincyonalnej prasie galicyjskiej tego pocieszającego objawu, za jaki niewątpliwie uznać trzeba poważne, trafne i pełne godności traktowanie spraw publicznych, żywe interesowanie się niemi, wysoki stosunkowo poziom moralny. Pism peryodycznych prowincya galicyjska posiada dotąd niewiele, a i te, które są, przebijać się muszą z trudem przez ciernistą drogę pracy, nie dającej materyalnych dochodów, nie kraszonej należytem poparciem czytającego ogółu. Wszystkie jednak, z małemi wyjątkami, sztandar dziennikarstwa trzymają wysoko, starają się spełniać swe trudne zadanie uczciwie i sumiennie, a w artykułach nieraz wcale wytrawnem pisanych piórem, podają często myśl głębszą, oryginalną, inicyatywę, sięgającą daleko po za ciasny widnokrąg prowincyi. Wspomnieliśmy o wyjątkach. Zaliczyć do nich należy okazy niewątpliwie patologiczne w rodzaju pisma, które cały numer od początku do końca poświęca wyłącznie arcydoniosłemu wypadkowi zaślubin córki dygnitarza powiatowego (oczywiście hrabianki z hrabiczem) i upamiętnia nawet dosłownie »menu« uczty weselnej. Nie wymieniamy tytułu gazety, która się zdobyła na ten chorobliwy pomysł i nim samym już dostatecznie się ośmieszyła. Wyjątki nie czynią ujmy regule.

W artykułach o Towarzystwie »Szkoły ludowej« wskazaliśmy niedawno na brak szkół dla dorosłych analfabetów i zwróciliśmy uwagę miejscowych grup Towarzystwa, że byłoby bardzo pożądanem zakładanie podobnych instytucyj we wszystkich miastach galicyjskich na wzór krakowskiego Koła, które podjęło tę myśl i wyłącznie prywatnemi środkami urzeczywistnia ją ze skutkiem nader pomyślnym. Z zadowoleniem zaznaczamy dziś fakt budzenia się żywszego na tem polu ruchu. Rada miasta Lwowa na wniosek T. Romanowicza uchwaliła założyć w najbliższym czasie kilka szkół dla dorosłych nie umiejących czytać i pisać, a koszta ich urządzenia pokryć z funduszów miejskich. Prostszy to sposób załatwienia sprawy, bo usuwa odrazu potrzebę szukania źródeł finansowych na opędzenie minimalnych bodaj, niezbędnych wydatków. Nie wszędzie jednak tą drogą da się rzecz przeprowadzić. Byłoby bardzo pożądanem, aby za przykładem Lwowa poszły reprezentacye wszystkich 30 miast, rządzących się własnym statutem. Czuwać nad tem powinny koła miejscowe Towarzystwa Szkoły ludowej, i organizować szkoły dla analfabetów we własnym zakresie prywatnym, gdzie pomoc publicznych czynników na razie byłaby niemożebną lub do uzyskania trudną.

Na temat zaopiekowania się analfabetami w naszym kraju toczyły się też ożywione obrady na ostatnim zjeździe członków Towarzystwa pedagogicznego, odbytym w Stryju

17 i 18 b. m. Referował sprawę nauczyciel Pierzchała, radząc łączyć kursa dla analfabetów z uzupełniającemi szkołami przemysłowemi. W rozprawie nad tym przedmiotem wszyscy mowcy zgodnie podnosili konieczność przeciwdziałania analfabetyzmowi, jeden tylko dyssonans, najmniej spodziewany, padł z miejsca prezydyalnego. W obronie ciemnoty stanął przewodniczący Towarzystwa ks. Jerzy Czartoryski, długoletni prezes komisyi szkolnej w Sejmie galicyjskim i zaryzykował między innemi następujące twierdzenie: »Analfabeci są najczęściej *porządni i rozumni* ludzie, nauka i oświata w rękach gminu, to siekiera, którą można z pożytkiem władać, ale także i kaleczyć, zresztą historya poucza, że oświata niekoniecznie jest niezbędną do szczęścia i dobrobytu. Wszak we Francyi do niedawna rolnicy i małomieszczanie byli przeważnie analfabetami a pomimo to kwitnął tam dobrobyt, wzmagało się bogactwo«... Że do tego, aby być »porządnym«, nie potrzeba koniecznie umieć czytać i pisać, nikt zapewne przeczyć nie będzie, odwrotnie też nikomu na myśl nie przyjdzie dowodzić, że nauka czytania i pisania chroni od »nieporządności«. Dziwić się tylko trzeba, że prezes Towarzystwa pedagogicznego, zażywający długoletniej opinii człowieka poważnego, mógł tak dziecinnie się odezwać. To, co powiedział o Francyi, nie dowodziłoby niczego, nawet, gdyby było prawdą. Tymczasem prawdy właśnie dopatrzeć się w tem niepodobna. Francya wydaje dziś na cele szkolnictwa przeszło 180 milionów rocznie, prawie dziesięć razy tyle co przed laty dwudziestu. Armia francuska liczyła w r. 1826 55·2%, w r. 1876 15·6%, a w r. 1892 tylko 7·4% analfabetów. Cyfry te są chyba stokroć wymowniejsze od paradoksalnych apologii ciemnoty i nieuctwa w naszym kraju. Wygłaszanie podobnych zdań nie przyczynia się wcale do podniesienia powagi Towarzystwa, którego wpływ na nauczycielstwo ludowe do niedawna jeszcze potężny, ostatniemi czasy słabnie i upada.

Niemcy, zamieszkali w Biały, przy każdej sposobności szukają zaczepki z spokojną ludnością polską. Niedawno ofiarą ich zawiści paść miał tamtejszy inspektor szkolny Pelikan, przeciw któremu podniosły hecę najpierw miejscowe pisemka *Bielitz-Biala'er Anzeiger* i *Bielitz-Biala'er Wochenblatt*, a za niemi *Silesia* i cały szereg niemieckich dzienników i dzienniczków. Jak psiarnia na zająca, wsiadły nań zacne te »organy« za to, że inspektor w wykonywaniu swych zawodowych obowiązków, zwiedzając miejską szkołę (niemiecką), na konferencyi wytknął protegowanemu przez Niemców nauczycielowi niejakiemu Rudnickiemu, że uczniowie niedostateczny wykazują postęp zarówno w polskim jak i w niemieckim języku. Ponieważ zdarzyło się, że Rudnicki w ciągu konferencyi zasłabł, piśmidła bialskie przypisały ten fakt przypadkowy »brutalnemu postępowaniu« inspektora, nie wahały się ogłosić, że R. dostał napadu obłąkania (na drugi dzień był zdrów zupełnie), a znany z polakożerczości, choć na polskich stypendyach wytuczony, burmistrz miasta dr. Rosner poruszył tę sprawę na posiedzeniu Rady miejskiej i zażądał przeprowadzenia śledztwa dyscyplinarnego, które stwierdziło zupełną niewinność inspektora. Akta dyscyplinarne odesłano do krajowej rady szkolnej, od której należy się spodziewać, że p. Pelikan całkowitą otrzyma satysfakcyę. Że postępowanie inspektora było pod każdym względem poprawne i słuszne, dowodzi najlepiej fakt, że mimo bardzo pobłażliwego egzaminowania przez profesorów niemieckich, ani jeden z uczniów Rudnickiego nie przeszedł do gimnazyum. Cała ta heca jest wymowną illustracyą stosunków bialskich. Niemcy wojują tam bezczelnie, a nasza potulność dodaje im odwagi i podsyca ich zuchwalstwa. Największa cierpliwość jednak ma swoje granice i w końcu wyczerpać się musi. Wierutnemi bajkami o prześladowaniu swej narodowości przez urzędników Polaków, kulturtregerzy bialscy utrzymują szowinistów niemieckich w ciągłem wyzywającem rozdrażnieniu, które łatwo może wywołać odpór ze strony polskiej, rdzennej ludności miejscowej. Następstwa mogą być bardzo niepożądane. Ciekawa rzecz tylko, jak długo nasze władze krajowe zamyślają obojętnie spoglądać na systematyczne podjudzania ze strony Niemców, na ich bezprzykładne drwiny z ustaw konstytucyjnych.

Prawdzic.

Z KRESÓW.

— *Gimnazyum polskie w Cieszynie.* Nakładem »Macierzy szkolnej dla ks. cieszyńskiego« wyszło pierwsze sprawozdanie roczne dyrekcyi gimnazyum polskiego, założonego w roku zeszłym w Cieszynie.

Ciało nauczycielskie tworzyli: dyrektor (a właściwie »kierownik«, dopóki gimnazyum nie posiada praw zakładu publicznego) p. Piotr Parylak, który wykładał język niemiecki w obu oddziałach klasy I. (12 godzin tygodniowo), dwaj suplenci egzaminowani — p. Józef Ostrowski, do języka polskiego i łacińskiego i p. Jan Śnieżek do nauk przyrodniczych i matematyki, uczyli po 19 godzin tygodniowo, nadto dwaj katecheci ks. Józef Londzin (religia rzymsko-katolicka) i pastor dr. Jan Pindór (religia ewangielicko-augsburska). Nauki gimnastyki i śpiewu jakoteż rysunków w roku zeszłym nie prowadzono. Co do innych przedmiotów plan był prawie taki sam, jak w gimnazyach galicyjskich, tylko ze względu na warunki miejscowe ilość godzin języka niemieckiego podniesiono do 6 na tydzień. Języka polskiego tylko 3 godziny, wykład wszystkich przedmiotów odbywał się po polsku. Uczniów, jak wiadomo, przyjęto 95, z nich 14 wydalono w listopadzie na życzenie Rady szkolnej krajowej, w ciągu roku opuściło szkołę 7 uczniów (nie wiadomo, z jakich powodów), pozostało więc 74, z pomiędzy których wedle miejsca urodzenia 62 było z ks. cieszyńskiego, 12 z Galicyi. Pod względem wyznania było 59 rzymskich katolików i 15 ewangielików augsburskich.

Że klasyfikacya uczniów wypadła korzystnie, należało się tego spodziewać, wobec usunięcia jednostek mniej zdolnych. Promowano do klasy II-ej uczniów 54, z tych 11. ze stopniem celującym; 7-miu pozwolono powtórzyć egzamin z jednego przedmiotu po feryach, 13 pozostało na rok drugi.

Biblioteka dla nauczycieli miała 1946 dzieł w 3312 tomach. Mniej korzystnie przedstawia się biblioteka uczniowska, bo składa się z 248 dzieł w 301 tomach, wszakże na potrzeby uczniów dotychczas najzupełniej wystarczało. Nadto książek szkolnych, wypożyczanych ubogim uczniom, gimnazyum posiadało 651. Cały ten zasób książek zawdzięcza się ofiarności społeczeństwa, w drobnej tylko części powstał z zakupna.

Sprawozdanie, obejmujące także kronikę krótką zakładu, zawiera przy końcu rozprawę p. J. Ostrowskiego z historyi rzymskiej.

Sprawozdanie to, ograniczone do rozmiarów nader szczupłych, bo razem z rozprawą zawiera tylko 28 stronnic druku małej broszurki, o wielu rzeczach zamilcza, pozostawiając je wydziałowi »Macierzy.« O tem więc, jak rozdzielano stypendya, jak stoi sprawa z prawem publiczności i t. d., nie dowiadujemy się nic zgoła.

»Przegląd polityczny«, wychodzący w Nawsiu pod Jabłonkowem, donosi, że do klasy pierwszej na rok 96/7 zapisało się dotąd 35 kandydatów (w tem 1 żyd) i cieszy się wobec tego nadzieją, że liczba uczniów i w tym roku

będzie nie mniej imponującą, jak w zeszłym. Pragniemy tego z całego serca, zdaje nam się jednak, że nie posiadanie prawa publiczności ostudzi bezwątpienia zapał ludu śląskiego dla gimnazyum polskiego i sztuczna agitacya za oddawaniem dzieci do niego nie na wiele się tu przyda, bo w takich sprawach najbardziej przemawiają do umysłów korzyści realne, a brak ich wyzyskują dla siebie żywioły nam wrogie. Wszelkich zatem środków użyć należy, aby prawo publiczności bądź co bądź wywalczyć.

Słusznie zaznacza »Kuryer przemyski«, że przy nadchodzących wyborach z kuryi powszechnej należałoby stawiać warunek *sina qua non* kandydatom na posłów, aby upaństwowienie gimnazyum cieszyńskiego wstawiali do programu swego, jeśli chcą być uważani za posłów *narodowych*. Ofiarność społeczeństwa bowiem osłabnąć może, a nawet zupełnie ustać, należy więc zawczasu zabezpieczyć byt temu zakładowi, a najlepszą do tego drogą byłaby agitacya za upaństwowieniem.

Fundusz »Macierzy szkolnej« od kilku miesięcy waha się około cyfry 100 i paru tysięcy i były już miesiące takie, że wpływ nie dorównywał wydatkom, wydatki te zaś z każdym rokiem wzrastać będą.

Jeszcze parę słów *à propos* biblioteki gimnazyum. Że jest dosyć zasobna, nie ulega wątpliwości i dlatego poddajemy myśl dyrekcyi, czyby nie wypadało uprzystępnić jej szerszym sferom, a przynajmniej młodzieży szkolnej zakładów innych. Wiemy o tem dobrze, że oprócz gimnazyum niemieckiego, które ma trochę w bibliotece swojej książek polskich lecz starych wydań, inne jak szkoła realna, seminaryum nauczycielskie i t. d. nic polskiego nie posiadają, co młodzieży naszej mocno daje się uczuwać.

Jeśli pryw. gimnazyum czeskie w Mistku mogło urządzić w gmachu swoim bibliotekę dla użytku publiczności, sądzimy, że i dyrekcya naszego gimnazyum mogłaby pójść tym śladem i oddać rzetelną przysługę młodzieży polskiej w Cieszynie, pozbawionej niemal zupełnie lektury w języku ojczystym.

Z WYCHODZTWA I KOLONII.

South-Bend 6 lipca.

Charakter miasta. — Dobrobyt mieszkańców. — Stowarzyszenia. — Budowa szkoły. — Stosunki towarzyskie. — Młode pokolenie.

Zwyczajem przyjętym przez podróżujących po obcych krajach jest zaczynać swoje sprawozdania od opisu stolicy danego państwa. Wypadało by więc i mnie, jako zwiedzającemu obecnie amerykańską Polonię, zacząć od Chicago, tej faktycznej stolicy czwartej dzielnicy Polski, tego miasta, posiadającego największą ludność polską po Warszawie. Za krótko jednak bawiłem w stolicy Zachodu; wolę więc zostawić szczegółowy opis Polonii chicagoskiej na później.

South-Bend, w stanie Indiana, od którego rozpocząłem swoją wędrówkę, jest to niewielkie, zaledwie trzydzieści tysięcy ludności liczące miasto, leżące na drodze z Chicago do Pensylwanii, położone nad skromną rzeką św. Józefa, miasto to całe tonie w zieloności i swoją czystością, spokojem i ciszą robi na przejezdnym bardzo miłe wrażenie po gwarnym, zadymionym i zakurzonym Chicago. Polacy tworzą mniej więcej piątą część ludności miasta; South-Bend jest więc jedną z najpoważniejszych drugorzędnych kolonii polskich w Stanach Zjednoczonych; parafia polska dotąd jest jeszcze jedna, ale zakupiono już miejsce na drugim końcu polskiej dzielnicy, na tak zwanej Warszawie, gdzie stanie niebawem drugi kościół. Ogromna większość Polaków pracuje tutaj na fabrykach pługów i narzędzi rolniczych Olivera i wozów Studebekra; zarobki wynoszą od 1 dolara 25 c. do $2^1/_2$ dolarów dziennie. Dzięki oszczędności i trzeźwości, którą się tutejsi Polacy odznaczają, prawie każda z dawniej osiadłych rodzin posiada własny domek z kawałkiem ogródka, a często i kilkaset dolarów w banku; w ogólności znać zamożność i zadowolenie ze swojego położenia. Uderzającą jest wielka ilość dzieci w rodzinach; wieczorem chodniki i ulice roją się setkami zdrowych i ładnych dzieciaków. Miejscową inteligencyę tworzą proboszcz, około którego grupuje się towarzystwo oświaty, lekarz, kilku aptekarzy, notarjuszów i zamożniejszych kupców; spotykałem jednak i pomiędzy robotnikami i rzemieślnikami nie mało ludzi bardzo rozwiniętych. Z polsko amerykańskich organizacyi są tutaj trzy grupy Związku N. P., liczące razem około 200 obywateli, grupę Zjednoczenia P. R. K., około 80 osób, gniazdo Sokoła polskiego, oddział Skarbu Narodowego w Raperswylu; przeważna większość jednak należy tylko do miejscowych kościelnych towarzystw i nie łączy się z żadną z wielkich organizacyi.

Obecnie najważniejszą sprawą, obchodzącą tutejszych Polaków, jest budowa nowej szkoły parafialnej przy kościele św. Jadwigi. Duży gmach trzypiątrowy, w którym mogłoby się pomieścić niejedno z gimnazyów warszawskich, doprowadzony już pod dach. Szkoła będzie kosztować 16.000 dolarów, co pochlebnie świadczy o ofiarności ogółu. Na zabawie np. urządzonej 4. lipca na rzecz szkoły zebrano 1.200 dolarów; przed jesienią gmach szkolny będzie gotów na przyjęcie polskiej dziatwy i nauczycieli.

Tutejsza kolonia polska odznacza się, jak mnie zapewniano i jak po części sam mogłem stwierdzić, zgodnością i dobrym wzajemnym stosunkiem między obywatelami, należącymi do różnych stronnictw i organizacyi. Nietylko nie ma tu żadnych zaburzeń parafialnych, ale i w świeckich sprawach panuje przykładna jedność. Zdarzają się wprawdzie wypadki, że ta lub owa grupa nie bierze udziału w jakiej wspólnej zabawie, że jedna grupa związkowa nie popiera czegoś, co popierają dwie inne, ale nie psuje to ogólnej harmonii. Można się spodziewać, że przy większym jeszcze rozwoju myśli politycznej i ducha obywatelskiego zmiękną i te drobne objawy tradycyjnej polskiej niesforności. Źródło tych drobnostek tkwi, jak zwykle u nas, w prywatnych tajemnicach; sprawa publiczna jednak czasami cierpi na tem mniej lub więcej dotkliwie. Wszyscy tutejsi obywatele, o ile mogłem poznać, są dobrymi patryotami. Różnice w zapatrywaniach na sprawę ojczystą polegają na tem, że jedni chcą wymodlić Polskę, gdy znowu inni nie bez słuszności twierdzą, że wiara bez uczynków jest martwą i że cent, rzucony do narodowej skarbonki, nikomu nie zaszkodzi a dobrej sprawie pomoże; są już i tacy, którzy pod względem pojmowania swoich obywatelskich obowiązków nie pozostawiają nic do życzenia. Mniej dodatnio przedstawia się pod tym względem młodzież, urodzona na amerykańskiej ziemi i trochę zbyt po amerykańsku wychowana. Za mało wie ona o starym kraju i za mało się nim interesuje. Należy się spodziewać, że życie wyrówna braki wychowania.

T. S-ki.

= *Muzeum narodowe w Rapperswylu.* W pierwszej połowie sierpnia odbędzie się doroczne zebranie rady muzealnej w cichym, poważnym zamku rapperswylskim nad jeziorem zurychskiem. Ogłoszone już sprawozdanie zarządu Muzeum za rok ubiegły świadczy o coraz to potężniejszym rozroście instytucyi, która sławę polskiego imienia po całym świecie roznosi. Na wstępie podano w sprawozdaniu dokładny opis uroczystego aktu przewiezienia do Muzeum najdroższej dla nas pamiątki, serca nieśmiertelnej pamięci Ta-

deusza Kościuszki. Złożono je, jak wiadomo, na razie w jednej z baszt zamkowych, która wszakże nie nadaje się ze względów technicznych do urządzenia w niej Mauzoleum. W listopadzie z. r. przybyli do Rapperswylu trzej wybitni członkowie rady, wiceprezes Bukowski, drugi wiceprezes Lewakowski i kontrolor pułkownik Miłkowski, i przy pomocy dwóch artystów malarzy Polaków wybrali na Mauzoleum miejsce na dole tejże baszty, wprost pomnika. W tym punkcie dwa wysokie mury otaczające dziedziniec zamkowy schodzą się pod kątem i łączą ze sobą za pomocą frontu półokrągłej wieży. Jeżeli rozszerzyć drzwi prowadzące do jej wnętrza i utworzyć z nich piękne wejście w stylu gotyckim, jeżeli nadto dwa wązkie okna wprowadzą tam światło, to miejsce to odrazu stanie się bardzo piękną świątyńką, dla wszystkich dostępną. To Mauzoleum na dole znajdować się będzie na jednym poziomie z cmentarzem katolickim, który rozciąga się tuż za murem wieży. Przed wejściem o dziesięć kroków znajduje się pomnik, na którym właśnie od strony tego wejścia widnieje napis: »Konfederacya barska 29. lutego 1768 r, Konstytucya 3. maja 1791 r. i wojna o nią. Wojna o niepodległość 24. marca 1794 r.« — itd. W górze — orzeł odlatujący ze szczytu kolumny — stanie się jeszcze bardziej wymownym symbolem. Będzie on wówczas, gdy drogie serce tam złożone zostanie, jak gdyby wyrazem wiary naszej i nadziei, że kiedyś je ztamtąd, z czasowego schronienia do Polski zaniesiemy.

Roboty około Mauzoleum są już w pełnym toku. Na pokrycie kosztów drogą składek zebrano do 9. kwietnia br. 2259 fr. 37 ct.

Właściwego rozwoju Muzeum dotyczą następujące szczegóły ważniejsze, wyjęte ze sprawozdania: W ubiegłym roku powiększyły się zbiory o monet 81, medali 58, przedmiotów pamiątkowych 57, pieczęci 2, obrazów olejnych 8, miniatur 7, akwarel 19, rysunków oryginalnych 21, rzeźb 9, rycin 575, fotografii 29, dagerotypów 2, rękopisów 334, map 12, kostyum etnograficzny 1, druków 987 (w 1443 tomach i zeszytach). W d. 1. stycznia b. r. Muzeum wogóle posiadało: przedmiotów archeologicznych 348, przedmiotów pamiątkowych 971, monet 5611, medali 1073, pieczęci (przyrządów i odcisków) 426, obrazów olejnych 268, akwarel 101, miniatur 51, rysunków oryginalnych 389, rycin (sztychów, litografii, drzeworytów itd.) 7 672, fotografii (dagerotypów, światłodruków) 1.036, rzeźb 211, kamei 292, rękopisów 2.463 tytułów, map 685, nut 1.153, druków 25.508, dzieł w 38.456 tomach i zeszytach. Z biblioteki wypożyczono nazewnątrz 302 druki i 8 rękopisów, a na miejscu udzielono 223 druków i kilkadziesiąt rękopisów.

Zwiedziło Muzeum w r. 1895 osób 2644, o 339 mniej niż w roku poprzednim. Pod względem miejsca zamieszkania było między zwiedzającymi: z Szwajcaryi 1.503 osób, z Polski 375, z Niemiec 309, z Francyi 193, z Włoch 54, z Ameryki 42, z Anglii 39, z Rosyi 23, z Czech 19, z Holandyi 14, z Węgier 9, z Serbii 8, z Rumunii 6, z Danii 5, z Holandyi i Grecyi po 4, z Alzacyi i Belgii po 3, z Szwecyi, Kurlandyi, Hiszpanii, Australii po 2, z Japonii 1.

Stale pracowało w Muzeum trzech urzędników: kustosz, pomocnik kustosza i bibliotekarz. Pierwszy sprawował zarząd instytucyi, uporządkował dział »curiosa«. Pomocnik kustosza zajęty był katalogowaniem zbiorów mumizmatycznych, sporządził katalog kartkowy medali polskich w liczbie 648, medali obcych zostających w związku z historyą Polski 209, innych bez związku z naszemi dziejami 216. Monet spisano dotąd 286. Ułożono nadto dokładną księgę stypendystów im. Krystyna Ostrowskiego.

Sala Adama Mickiewicza została ukończoną. Katalog druków mickiewiczowskich wykazuje 418 tytułów, katalog rękopisów 129 tytułów (w tem 31 autografów A. Mickiewicza, ułożonych w osobnej tece), katalog portretów oryginalnych, sztychów, litografii i fotografii 208, rzeźb (płaskorzeźb) 8, pamiątek 12.

W wykończonym również »pokoju przyjaciół Polski«, umieszczono na głównem miejscu w dużej witrynie adres opatrzony 100.000 podpisów, a wystosowany do naszego narodu przez mieszkańców miasta Birmingham w roku 1832, chorągiew, ofiarowaną przez młodzież miasta Bostonu naszym powstańcom listopadowym, biust przyjaciela Polaków Larsa von Engeström, ambasadora szwedzkiego w Polsce za czasów sejmu czteroletniego, biust hr. Montalemberta, medale bite przez Polaków na cześć cudzoziemców, sprzyjających sprawie polskiej, pamiątki po obcych ludziach, którzy w r. 1830 i 1863 walczyli w naszych szeregach, portrety: Garibaldego, Lafayetta, Lamenais'go, Dudley-Stuarta, Fergussona, Campbell'a, Kossutha, Herzena, Potiebni, Marxa, Antell'a, Frazen'a, Curti'ego itd., wreszcie ich autografy, wyrażające sympatyę dla Polski.

Dopełniony katalog zbiorów Kościuszkowskich zawiera obecnie portretów Tadeusza Kościuszki olejnych 8, akwarelowych i rysowanych 12, sztychow. i litograf. 145, fotogr. 31, portretów jego przyjaciół i głównych współpracowników 67, widoków olejno malowanych 9, akwarel (scen z r. 1794) 14, sztychów i litografii 67, rzeźb i płaskorzeźb 17, kameę 1, przedmiotów ręką Kościuszki wykonanych 7, przedmiotów, które były jego własnością 29, pamiątek pośrednich 25, biletów skarbowych z r. 1794 szt. 39, map 37, dokumentów 162, autografów Naczelnika 36, facsim. 9, kopij 10, materyałów do epoki 50, papierów, tyczących się spadku, krewnych, serca Kościuszki 42.

Z działów bibliotecznych najrychlejszego uporządkowania domagały się stare druki z wieków XV, XVI i XVII (do r. 1700). Zbiór ten, składający się prawie wyłącznie z egzemplarzy, wykupionych za granicą na rynkach antykwarskich, zawiera wiele dzieł ciekawych i rzadkich. Oprócz druków polskich, które zabłądziły na obczyznę, jest tu wiele dzieł obcych, opatrzonych cennymi przypisami Polaków. Przystępując w ubiegłym roku do systematycznego katalogowania tego zbioru, podzielono go naprzód na cztery grupy: na dzieła polskie (i »polonica«), obce z przypisami Polaków, zupełnie obce, i druki z zakresu »Coperniciana«, już przedtem zebrane osobno w pokoju imienia astronoma. Dotąd skatalogowano 324 tytułów z działu pierwszego. Cyfra ta nie stanowi jeszcze połowy ogólnej sumy druków polskich (i »polonica«). Same broszury i pisma ulotne, ułożone w porządku chronologicznym, zajmują 10 tek znacznej objętości.

Oprócz katalogów kartkowych bibliotekarz prowadził księgi kancelaryjne. Kontrolor (pułk. Miłkowski) zwiedził Muzeum w ciągu roku czterokrotnie. Finansowa część sprawozdania wykazuje w dochodach: składki zwykłe i wieczyste 13.193 fr., procenta od funduszów muzealnych 847 fr. ze sprzedaży wydawnictw 1684 fr. Wydatki zwyczajne wyniosły 14.104 fr. Kapitał muzeum wynosi 73.560 fr. fundusz żelazny dorósł z końcem 1895 r. do kwoty 28.900 fr.

Jeszcze słów kilka o funduszach specyalnych, któremi rada muzealna zarządza. *Fundusz stypendyjny ś. p. Krystyna hr. Ostrowskiego* powiększył się w zeszłym roku o sumę 31.943 fr. Kapitał oszacowano na 320.000 franków. Ze stypendyów, wypłaconych w łącznej kwocie 16.180 fr., korzystało 36 osób, w tej liczbie 32 mężczyzn i 4 kobiety. Ośmiu stypendystów studyowało w Paryżu, 6 w Zurychu, 4 w Krakowie, po 3 w Berlinie, Genewie i Królestwie, po 2 w Antwerpii i Karlsruhe, po jednym wreszcie w Dreźnie, Freibergu, Leoben, Mittweidzie i w Rzymie. Szesnastu z nich kształci się na lekarzy, 7 studyuje

chemię, 3 mechanikę, po 2 górnictwo i handel, po 1 filologię, filozofię, inżynieryę, literaturę, malarstwo i prawo. W bieżącym roku pozostaje do rozdania w formie stypendyów około 11.500 fr. nie licząc oczywiście ofiar, dobrowolnie po za funduszami Ostrowskiego na ten cel nieraz składanych.

Fundusz anonimowy z roku 1893, przeznaczony po części na wzmocnienie żelaznego kapitału Muzeum, po części na stypendya dla uczącej się młodzieży, w dochodach swych do czasu w myśl wyraźnego życzenia ofiarodawcy obracany na cele prywatnej natury, przenosi obecnie sumę 156.000 fr. Podobne przeznaczenie ma drugi *fundusz anonimowy z r. 1894*, wartości około 32.000 fr.

Muzeum dzierży wreszcie w depozycie, jak wiadomo, także *fundusze skarbu narodowego*, które z końcem 1895 r. wynosiły 127,892 50 fr.

Zarząd muzealny stosownie do decyzyi rady, nie miesza się zupełnie ani do propagandy dla zbierania tych funduszów, ani też do ich użytkowania. Rola zarządu Muzeum ogranicza się tylko na przechowywaniu złożonego depozytu, odbieraniu procentów od walorów, przyjmowaniu nowych wpływów i zakupywaniu za zebraną gotówkę pewnych papierów. Szczegółowe rachunki z tych funduszów Zarząd muzealny przesyła co pół roku komisyi nadzorczej skarbu, na ręce jej prezesa. Ponieważ wysokość funduszu tego przeszła już sumę 100.000 franków, zarząd Muzeum będzie przeto wydawał z nich sumy, jakie komisya nadzorcza zaasygnuje, a to na podstawie ustaw, normujących działanie skarbu, jakoteż i samej komisyi nadzorczej.

Walory skarbu narodowego złożone są w Muzeum, a wykazy ich szczegółowe znajdują się w rękach dyrektora Muzeum, jakoteż u prezesa i rachmistrza komisyi nadzorczej skarbu.

PRZEGLĄD PRASY.

— Z powodu sprzedaży kilku wielkich majątków komisyi kolonizacyjnej, *Dziennik poznański* wygłasza kilka uwag, ciekawych nie tyle ze względu na treść, która dla czytelników naszych nie będzie zupełnie nową, ile ze względu na pismo, które je zamieściło:

„Dziś bowiem rzeczywiście cała nadzieja nasza w ludzie naszym i w tych sferach mieszczaństwa, które z ludu wychodzą.

„Kto nie wierzy, niech się przyjrzy ludowi temu, jak pracuje, jak się krząta, jak się kształci i uczy nietylko od swoich, ale i od obcych, od których umie przejmować, przyswajać sobie wszystko, co godne tego. Większych majątków ziemskich liczymy już w ręku naszem zaledwie na setki, gospodarstw włościańskich na tysiące i dziesiątki tysięcy, a gdy przy końcu roku zrobimy obrachunek zysków i strat w ziemi, to przekonamy się, że nawet w absolutnym a nie relatywnym stosunku więcej niemal większych majątków ziemskich aniżeli zagród włościańskich przechodzi w ręce obce, a jeszcze ta strata mniejszej własności całkowicie niemal pokrywana była nowemi nabytkami z rąk obcych. Często zaś nawet zysk w tym względzie przewyższa stratę. A przypatrzmy się tylko naszym gospodarzom włościanom, jaki tam postęp, jaka umiejętność w korzystaniu z nauk udzielanych lub podpatrzonych przykładów. Radbym rzeczywiście zaprowadzić czytelników „Dziennika“ na Kujawy, mianowicie w porze obecnej, w porze zwiedzania gospodarstw przez Kółka włościańskie. Jakiż tam ruch, jakie ożywienie, jaka praca. Przypatrzmy się dalej naszym kasom oszczędności, naszym spółkom pożyczkowym lub bankom ludowym!

„Jest rzeczywiście ogromna siła w ludzie naszym, jest materyał twardy, niezłomny, uprawniający do najlepszych nadziei. Przypatrzmy się ot ludowi naszemu na Śląsku i w Prusiech Zachodnich, jakaż odwaga cywilna, solidarność, jaki zapał do walki o ideały narodowe. Dajmy tylko ludowi naszemu pole do rozwoju, a wnet pocieszymy się po stratach, po ciosach, zadanych nam przez „wykonawców komisyi kolonizacyjnej“.

— W numerze poprzednim zamieściliśmy list pana T. Korzona, zawierający, według niego, nieprzychylne zdanie Lelewela o socyalizmie Słuszność nakazuje nam zaznaczyć, że zdaniu temu nadał p. Korzon niewłaściwe znaczenie. Krakowski tygodnik socyalistyczny *Naprzód* pisze w tej sprawie:

Ustęp, z którego p. Korzon owe słowa wyrwał, jest pisany w żartobliwym tonie. Lelewel mianowicie, posyłając dwie sztuczki jakiejś materyi dwom pannom w podarunku, pisał: „Mnie się widzi, że kiedy obie panienki razem mieszkają, aby obie sztuczki były wspólne, a jeśli mogą być użyteczne, aby alternatą użyte były. Przeklęty to socyalizm, komunizm, ależ awantaż oczywisty. Są dwie sztuczki, dwie panienki i każda powie: ja mam moje sztuczki tak, że te dwie sztuczki czterema się stają...“

Naprzód dowodzi, że Lelewel był przychylnym socyalizmowi, co istotnie wydaje się prawdopodobnem chociażby ze względu na typ umysłowości znakomitego historyka. Na poparcie swego twierdzenia pismo socyalistyczne przytacza ustępy z przemówień publicznych Lelewela.

„Kiedy w rocznicę Rewolucyi Francuskiej, którąśmy obchodzili w Warszawie, utrzymywałem, że powstanie jest w rzeczy samej i będzie nadal dla nas rewolucyą socyalną, niezbędnie potrzebną do odrodzenia narodu, oburzono się na moje twierdzenie. Nasi dyplomaci zlękli się, i ledwie że mnie nie zapozwano przed sąd Izby za te śmiałe wyrazy. Rewolucya miała się zatrzymać tam, gdzie była, i nie wdawać się w socyalne odmiany. Powstanie Krakowskie zaczyna przeciwnie od aktu w najwyższym stopniu rewolucyjnego, od aktu socyalnego: powołuje lud do powstania, do odzyskania swych praw przez rewolucyą radykalną, do odmienienia z gruntu socyalnego porządku... Jest to pierwsza rewolucya socyalna która się otwarcie objawia na horyzoncie polskim. Od tego czasu, niepodobna, aby jaka inna ze wstecznemi wyobrażeniami nastąpić mogła... Wszędzie lud zaczyna poznawać, że jeżeli sam przez się praw swoich nie odzyska, nigdy ich posiadać nie będzie“.

Należy jednak zauważyć, że wyraz »socyalny« znaczy »społeczny« nie zaś »socyalistyczny«. Mowa do Bakunina wyraża solidarność międzynarodową rewolucyonistów, walczących za wolność, ale nic nie mówi o sympatyi Lelewela do socyalizmu. Myli się więc *Naprzód*, mówiąc, »zdaje się poparliśmy dostatecznie nasze twierdzenie, że Lelewel był socyalistą«. Dowody nie są dostateczne i możnaby znaleść bardziej przekonywujące, że Lelewel był socyalistą w tym rodzaju, jak np. Mickiewicz.

— *Gazeta narodowa* oburza się na uchwałę kongresu socyalistycznego w Londynie, przychylną sprawie niepodległości polskiej. Z naiwnością (nie chcemy użyć dosadniejszego wyrażenia), jaką nawet w prasie galicyjskiej rzadko spotkać można, gazeta wyraża podejrzenie, że autorami wniosku mogą być »podstawieni prowokatorzy, którzy katom rosyjskim mają poddać (?) nowy obuch na Polaków«.

Kat... języka polskiego w *Gazecie narodowej* oświadcza, że nie może go »radować (chyba cieszyć) ta rezolucya«.

„Nietylko dlatego, że z ziem polskich pod knutem rosyjskim i kapralską laską pruską posypią się nowe męczeństwa na naszych braciach, ale i dlatego, że socyalna demokracya, tak samo jak radykalizm, — powołujemy się na taką powagę jak Dragomanow — o Polsce wcale nie myśli, choć przemawia za zdjęciem jarzma z Polaków“.

Dragomanow, lichy dyletant, był i jest powagą chyba dla radykałów ruskich z Kołomyi lub Tarnopola i dla *Gazety narodowej*. Nietylko europejscy, ale nawet rosyjscy socyaliści znali dobrze wartość jego umysłową i moralną. Nie warto zresztą mówić o tem, natomiast warto uwiecznić następujące zdanie *Gazety narodowej*:

„Przyznamy się, że wolimy ostatecznie, gdy taka do czasu wola Boża, znosić knut rosyjski i pruską palicę kapralską, niż błogosławieństwa (?) nienawiści i rzezi, jakiemiby obdarzył nas — tak jak (?) ewentualnie inne też kraje — system rządów, o jakim myślą prowodyrzy socyalnej demokracyi“.

Tak myślą i tak po polsku piszą patryoci z *Gazety narodowej*.

= Zadziwiająca jest obojętność, z jaką nietylko władze austryackie, ale i prasa galicyjska traktują sprawę zabójstwa włościanina Jarczyka przez straż graniczną rosyjską, tymbardziej, że wypadki tego rodzaju powtarzają się stosunkowo dosyć często.

„Trudno pojąć — piszą *Nowiny raciborskie* — że się rząd austryacki tą sprawą dotąd energiczniej nie zajął. Z jaką bezwzględnością zresztą Moskale przytem postępowali, poznać można z tego, że żonie zabitego, chociaż miała zupełnie formalny paszport austryacki, nie pozwolili przejść przez granicę i wziąć udział w pogrzebie męża."

Pobłażliwość władz austryackich dla wybryków zuchwalstwa rosyjskiego dawno jest znaną i możnaby przytoczyć jaskrawsze jej dowody. Inaczej zresztą być nie może wobec obojętności społeczeństwa na te sprawy. Zabicie kłusownika francuskiego przez żandarmów niemieckich omal nie stało się powodem do wojny, zawsze zaś podobne wypadki wywołują korespondencyę dyplomatyczną. Ale my Polacy tak przyzwyczailiśmy się do ulegania gwałtom i przemocy, że nie oburzamy się wcale na krzywdy nam wyrządzane i na lekceważenie naszej godności narodowej.

= *Nowoje Wremia*, które w ostatnich czasach okazuje więcej trzeźwości w rozpatrywaniu wewnętrznych stosunków państwa rosyjskiego, zamieszcza artykuł p. Mołczanowa p. t. »Mapa analfabetyzmu rosyjskiego«, w którym zastanawia się nad mapą A. Ostrogorskiego, wystawioną obecnie w N. Nowgorodzie i przedstawiającą stosunkową ilość uczniów szkół elementarnych w rozmaitych guberniach europejskiej Rosyi. Mapa ta, jak sądzić można z artykułu, jest istotnie zajmująca. Rozmaitymi tonami niebieskiej barwy oznaczono tam procent uczniów szkół w poszczególnych guberniach: najjaśniejsze plamy oznaczają gubernie, w których liczba uczniów szkół elementarnych wynosi więcej, niż 6 na 100 mieszkańców, dalej idzie od 5—6, 4—5 i t. d. aż do gubernii, mających mniej niż jednego ucznia na 100 mieszkańców. Sądzić należy, iż autor mapy nie uwzględnił Królestwa, ponieważ p. M. o niem wcale nie wspomina.

Do pierwszej kategoryi (powyżej 6) należą Finlandya i gub. inflancka. Z naszej strony zrobimy uwagę, iż autor mapy dowcipnie się urządził, zamieszczając Finlandyę w nieokreślonej kategoryi »powyżej 6«, nikt bowiem stąd się nie dowie, że kraj ten ma *18.61 (!)* uczniów szkół elementarnych na 100 mieszkańców. Pod tym względem Finlandya najwyżej stoi ze wszystkich krajów Europy (Prusy mają 16,48, Szwecya 15,88, Szwajcarya 15,86, Niemcy 15,76, Anglia 15,27, Francya 14,49, Austrya 13,48). Widocznie zwolennicy *objedinienija* Finlandyi z Rosyą nie mają ochoty głosić, że czyhają na kulturę wzorowo zagospodarowanego, celującego w postępie kraju.

Drugie mniejsze (5—6) zajmują Kuronia, Estonia i Krym. Ostatni ogromnie dziwi rosyjskiego publicystę. Mniejby się może dziwił, gdyby nie zapomniał o licznych koloniach niemieckich na tym półwyspie i o tem, że ludność mahometańska dba względnie o szkoły.

Dopiero w trzeciej kategoryi (4—5) spotykamy gubernie rdzennie rosyjskie Jarosławską i Saratowską (ostatnia także z powodu obfitości Niemców), a inne już należą do niższych, przytem większość do ostatniej kategoryi (mniej niż 1 uczeń na 100 mieszk.!)

„Większość tych gubernii wielkorosyjskich — powiada p. Mołczanow — z których ma płynąć nieustanny prąd duchowych sił państwa, wiążących w jedno mnóstwo (*sorok-sorokow*) narzeczy, wyznań, języków i narodowości, składających się na cesarstwo rosyjskie, te gubernie, z moskiewską na czele, w sprawie oświaty ludowej idą w jednym szeregu, nie wyprzedzając ani na cal lodowatych krain Kemi, Pieczory i Samojedów.. P. Ostrogorski, czy to prawda?"

Istotnie smutny to fakt dla Rosyi i smutniejszy jeszcze dla tych, co marzą o wspólnym z nią państwowym bycie na długie lata.

O kraju zabranym p. Mołczanow nie byłby wspomniał, gdyby była nie zwróciła jego uwagi gub. kowieńska, mająca *mniej, niż jednego ucznia na stu mieszkańców.*

„Na samej granicy Europy — woła p. M. — w tym punkcie, tak ukochanym oddawna przez Niemców, mrok w guberni kowieńskiej! Z tą niespodzianką nie można się pogodzić; pań two powinno strzedz swoich posiadłości i choćby tylko gwoli temu powinno największą oświatą obdarzać te miejscowości swojego terytoryum, na które ostrzy zęby sąsiad, dumny z nieistnienia wśród niego analfabetów i bezwątpienia silny wysoką kulturą swoją".

Mój Boże, jacy to ignoranci — ci rosyjscy publicyści! P. Mołczanow może być spokojnym. Gubernia kowieńska należy do najbardziej oświeconych w państwie. Tam lud wszędzie na książce się modli i czyta gazety — zakazane. Tylko szkołą tam jest strzecha rodzinna. Rządową szkołą, która uczy w obcym języku i znieprawia, lud gardzi, i dlatego liczba uczniów w szkołach przez ostatnie lat piętnaście nie wzrosła wcale.

= *S. Pietierburgskija Wiedomosti*. pisząc o t. zw. sprawach kresowych (polskiej, nadbaltyckiej i t. d) trafnie zwracają uwagę na jeden z najważniejszych punktów stosunków istniejących.

„Czas już stanowczo i nieodwołalnie powiedzieć, gdzie tkwi rdzeń tych kwestyi. Między pstro utkaną Rosyą (której przeszło trzecia część nie jest rosyjską) a jej władzą najwyższą, usiłuje od czasu do czasu stanąć, zasłaniając się imieniem monarszem, p o s p o l i c i e e g o i s t y c z n y i u m y s ł o w o o g r a n i c z o n y ś w i a t u r z ę d n i c z y. Rozterka kresów państwa z jego sercem jest urzędnikom na rękę, ponieważ gwarantuje im z a c h o w a n i e i u t r z y m a n i e d o t y c h c z a s o w y c h p r z y w i l e j ó w s ł u ż b o w y c h i p r z e s a d n e g o z n a c z e n i a. Jeżeli tę prawdę pojmie się należycie, pół biedy zniknie już samo przez się."

Z powodu tego artykułu ks. Sergiusz Wołkońskij, imiennik i wnuk znanego dekabrysty, winszuje redakcyi odwagi w głoszeniu swych przekonań, robi jednak słuszną uwagę:

„Objawy dotychczasowe w prasie są piękne i pocieszające, ale dopóki w Rosyi istnieje ucisk religijny, przy czytaniu najlepszego artykułu pomimo woli chce się wykrzyknąć: to tylko słowa!"

A ucisk religijny to dopiero jedna strona sprawy, bardzo ważna wprawdzie, nie najważniejsza jednak, jak się *Pietierburgskim Wiedomostiom* wydaje.

= *Warszawskij Dniewnik* z uznaniem ocenia artykuł p. Straszewicza w *Kraju* p. t. »Odwaga cywilna«. *Nowoje Wremia*, mówiąc o polemice w sprawie polskiej, zaznaczyło, że:

„A ruch ugodowy w społeczeństwie rosyjskiem względem Polaków jest zupełnie szczery. Lecz Polacy sami winni zdobyć się na tyle męstwa, ażeby zdać sobie sprawę: ażali nie dają powodów do nieufności i popracować nad ich usunięciem".

Dniewnik twierdzi, że artykuł p. Straszewicza jest bezpośrednią odpowiedzią na powyższą uwagę:

„Zamieszczenie w *Kraju* przytoczonych wyżej myśli i rozumowań p. Straszewicza w postaci artykułu wstępnego, zamieszczenie ich w piśmie, zyskującem z każdym rokiem coraz liczniejsze (?) koło czytelników wśród inteligencyi polskiej — ma pewne znaczenie symptomatyczne i zawiera *in potentia* więcej, aniżeli wypowiedziano dotąd w formie uwag ogólnych".

Artykuł p. Straszewicza nie jest dla *Dniewnika* dosyć wyraźnym i stanowczym, pociesza się jednak, że:

„Sam fakt zjawienia się podobnego artykułu w piśmie polskiem jest pomyślną oznaką nowego prądu w tych niewielkich strumieniach polskich, które tak opóźniają z l a n i e s i ę s w o j e z o g r o m n e m i g o ś c i n n e m m o r z e m r o s y j s k i e m. Spodziewamy się, że jeszcze nieraz spotkamy na stronicach *Kraju* dalsze artykuły, usprawiedliwiające zna-

czenie tego nowego hasła, które dało powód do wynurzenia myśli p. Straszewicza. Niestety, musimy zaznaczyć, że pisma warszawskie nie zechciały zapoznać swych czytelników z poglądami kolegi petersburskiego".

Z OBCEGO SWIATA.

= *Kongres socyalistyczny w Londynie.* W tych dniach zgromadzili się w Londynie przedstawiciele stronnictw socyalistycznych i organizacyj robotniczych ze wszystkich krajów Europy. Od udziału w kongresie wyłączeni zostali anarchiści, z którymi przedstawiciele socyalizmu nie chcą mieć nic wspólnego. Na porządku dziennym kongresu stoi między innemi sprawa polska, w szeregu bowiem rezolucyj, które kongres ma uchwalić, pomieszczoną została następująca:

«Zważywszy, że ujarzmienie jednego narodu przez drugi tylko w interesie kapitalistów i despotów leżyć może, ale dla robotniczej ludności narodu jarzmiącego jak i ujarzmionego zarówno jest zgubne; że zwłaszcza carat rosyjski, który swoje siły wewnętrzne i znaczenie zewnętrzne z ujarzmienia i podziału Polski czerpie, jest nieustającem niebezpieczeństwem dla rozwoju całego międzynarodowego ruchu robotniczego — uchwala zgromadzenie, że niepodległość Polski jest zarówno dla całego międzynarodowego ruchu robotniczeego, jak i dla proletaryatu polskiego koniecznym postulatem politycznym.»

Niektórym naszym dziennikom wydaje się «dość szczególnem» (?) łączenie sprawy odbudowania Polski ze sprawą rewolucyi społecznej, dla tego zapewne, że ani dziejów własnego narodu, ani dziejów ruchów społecznych nie znają. Pismo wiedeńskie *Neue Zeit* tak w artykule „Finis Poloniae" łączność dwóch spraw uzasadnia.

„Ten ścisły związek walki za niepodległość Polski z powstaniem międzynarodowego związku robotniczego — nie jest żadnym przypadkiem. Od Wielkiej Rewolucyi francuskiej miała sprawa samodzielności Polski dla rewolucyjnych stronnictw wszystkich krajów Europy znaczenie najdonioślejsze; pomiędzy międzynarodowemi zadaniami politycznemi rewolucyi europejskiej była ona najważniejszą... Jeżeli Francya była krajem, który miał wolność reszcie ludów przynieść, to Rosya była przedmurzem reakcyi w całej Europie. Nieprzyjaciele cara byli naturalnymi sojusznikami rewolucyi europejskiej. Jeżeli władztwo caryzmu było międzynarodowem niebezpieczeństwem dla demokracyi i cywilizacyi europejskiej, to było popieranie przeciwników jego międzynarodowym obowiązkiem całej demokracyi europejskiej."

W przedmowie do nowego wydania „Manifestu komunistycznego» (w r. 1892) zmarły niedawno przyjaciel Marksa, Fryderyk Engels tę samą myśl wyraził w krótkiem zdaniu: „Robotnicy całej Europy potrzebują niepodległości Polski tak samo jak robotnicy polscy."

Zapewne uchwała kongresu socyalistycznego nie będzie miała doraźnego znaczenia praktycznego, ale ma niewątpliwie znaczenie moralne, świadczy bowiem o tem, że postępowe żywioły społeczne, że stronnictwa przyszłości sympatyzują ze sprawą niepodległości Polski, którą wszelkie żywioły wsteczne uważają za pogrzebaną ostatecznie. Nie trzeba być socyalistą z przekonania, dosyć jest być Polakiem szczerym i prawdziwym patryotą, który stawia sprawę przyszłości swego narodu wyżej po nad różnice poglądów i interesów społecznych, żeby fakt ten właściwie zrozumieć i ocenić.

KRONIKA.

= W tych dniach opuszcza prasę we Lwowie książka p. t. „Język rosyjski w katolickim rytuale i nabożeństwie dodatkowem". Rzecz ta, którą w rękopisie mieliśmy możność poznać, przedstawia z jednej strony usiłowania rządu rosyjskiego w celu zruszczenia kościoła katolickiego z drugiej zaś rozpatruje kwestyę: „czy język rosyjski może być wprowadzony do kościoła kat. na Litwie", ze stanowiska teologicznego, kanoniczno-prawnego, cywilizacyjnego i t. d. Autor książki, ksiądz Jan Przybyszewski, jest niezawodnie człowiekiem głęboko wierzącym i gorącym katolikiem oraz wybornym znawcą stosunków kościelnych na Litwie. Z pracy jego widać, iż bezpośrednio stykał się ze sprawami, o których pisze. Książce tej, po jej ukazaniu się, poświęcimy w najbliższym czasie więcej miejsca.

= P. Piechocki z Koźmina został skazany na 150 marek grzywny lub 6 tygodni więzienia za to, że podczas Zjazdu śpiewaków wywiesił w swem oknie tablicę z napisem „Jeszcze ....kanie zginęła".

= W Maryenbadzie zmarł 23 b. m Józef Rogosz, powieściopisarz i redaktor antisemickiego dziennika w Krakowie *Głos Narodu.*

= *Gazeta kołomyjska* donosi, że w powiecie sądowym kuckim na 22 wsi tylko 7 gmin ma nauczycieli, chociaż budynki szkolne i to wcale ładne, są prawie we wszystkich gminach. Posłuje z tego okręgu wyborczego prezes Koła polskiego, eksminister Zaleski.

= Z poznańskiego donoszą, że Sośnica, wieś rycerska, położona w pow. krotoszyńskim, obszaru 3300 mórg, należąca obecnie do p. Chełkowskiego, ma być sprzedana komisyi kolonizacyjnej. To samo zagraża podobno dobrom p. M. hr. Mielżyńskiego W. Łęka, Grodziska i Żytowiecko.

= Burmistrza m. Gniezna, Niemca Rolla, za to, że nie pozwolił muzyce grać hymnu pruskiego, zasądzono w drodze administracyjnej na wydalenie ze służby, znany zaś asesor Wehlau za mordowanie Murzynów, hańbienie kobiet, pastwienie się nad ludźmi i t. p. został ukarany tylko przeniesieniem na inne miejsce.

= We Francyi zmarła niedawno niejaka Józefa Rostkowska w 112 roku życia, która pod nazwiskiem Kluczyckiego, jako felczer, brała udział w wojnach napoleońskich, w powstaniu 1831 r., podczas kampanii krymskiej towarzyszyła Mickiewiczowi do Konstantynopola i t. d.

= Podróż pruskiego ministra oświaty Bossego celem zbadania stosunków szkolnych wśród Litwinów w Prusach wschodnich, pomimo danej Litwinom obietnicy dotychczas nie odbyła się — i zapewne nie odbędzie się, bo pruskim sferom urzędowym zależy na tem, aby kwestyi litewskiej nie stawiać na porządku dziennym. „Dosyć mamy kłopotu ze sprawą wielkopolską i duńską — rzekł jeden z wyższych dygnitarzy — po Litwinach gotowi się i Mazurzy poruszyć!"

= Jak upośledzone jest księstwo cieszyńskie przy rozdziale wszelkich subwencyj w porównaniu z opawską częścią Śląska austryackiego, dowodzą następujące cyfry:

Cieszyńskie płaciło w roku 1893 podatku 1,148.516 zł. 32 ct., t. j. o 25.023 zł. 81 ct. więcej niż Opawskie. Pomimo to z 4 319 zł. subwencyi na maszyny rolnicze dostało Cieszyńskie 1.390 zł., Opawskie zaś 2.929 zł. Z pożyczki 3% na drenowanie łąk i pól, wynoszącej 77.500 zł., Cieszyńskie wzięło 2.100 zł., Opawskie 75.400 zł. Z subwencyi na tenże cel, wynoszącej 3.775 zł., Cieszyn 50 zł, Opawskie 3.725 zł. Z pożyczki 3% na zakładanie kas Reiffeisena, wynoszącej 17.600 zł., Cieszyńskie otrzymało 1.000 zł., Opawskie 16.600 zł. Z subwencyi na tenże cel, wynoszącej 1 850 zł., Cieszyńskie 100 zł., Opawskie 1.750 zł.

= Najwyższy sąd administracyjny w Berlinie wydał wyrok, według którego nauczyciel jest uprawniony „do dotkliwego cielesnego karania" dzieci szkolnych, tak swej własnej, jak i innej klasy, tak w szkole, jak i poza lokalami szkolnemi. To samo prawo ma także duchowny w charakterze nauczyciela religii. Jeżeli nauczyciel ukarze dziecko szkolne, to rodzice mogą proces tylko wtedy wytoczyć, „jeżeli dziecko zostało poturbowane i to tak, iż udowodnić można, że ukaranie zagraża życiu i zdrowiu dziecka. Podbiegnięcie krwią, sińce i sine pręgi na ciele nie wchodzą tu w rachubę, ponieważ każda dotkliwa kara podobne objawy zostawia po sobie".

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego. Wydawca i odpowiedzialny redaktor dr. Ernest Adam.